

Spis treści:

1. Zanim wyrosną przewodnicy stad - rozmowa z Lechem Wałęsą	3
2. Aleksander Paszyński - Uwarunkowania, ale czy obiektywne? . 15	
3. Florentyna Łęczycka, Barbara Baryła - Dwugłos: Opozycja . 22	
4. Krzysztof Senajko - Wiersze	31
5. /map/ - To tak strasznie boli...	33
6. Włodzimierz Jurasz - Wiersze	41
7. Sowietolog - Dysydenci	42
8. Anna Bojarska - Czas był posępny	55
9. Edward Redliński - Tańcowały dwa Michały	58
10. Listy do Redakcji	68
11. Konrad Struga - Divide et impers	71

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by BEZ DEKRETU

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
Paryż, Francja

Zanim wyrosną przewodnicy stad

ROZMOWA Z LECHEM WAŁĘSĄ

- W jednym z wywiadów powiedział Pan, że dość ma udawania głupka...
- Nie, nie... nie powiedziałem. Czasami, żeby coś osiągnąć, nie można pokazywać swojej siły etc. etc.
- Ale tam było to powiedziane właśnie tak; jakby w chwili szczerości, czy załamania.
- Nie mogło mi się zdarzyć, chociaż...? Nie wiem. To nie pytanie.
- Jak to nie pytanie? Może zdał sobie Pan sprawę, że czasami jest Pan traktowany jak świątek, a nie przywódca?
- Yes, ja na takie rzeczy nie zwracam uwagi. Mamy zadania, określony cel i muszę się starać realizować go. Czasami muszę się wypowiadać w nagłych sprawach. To może rzutować na jakieś kierunki, tendencje... Mogę czasami użyć nietrafnych określeń, ale w poważnych wystąpieniach staram się mówić poważnie.
- Czy to, czego jest Pan szefem, nadal Pan uważa za związek zawodowy?
- Wszystko to uważam za realizację ideałów Sierpnia. Cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł tylko i wyłącznie pozostać w sferze związkowej. To mi najbardziej leży. Nie chciałbym parać się sprawami gospodarczymi, politycznymi... Trzy lata temu w swoim wystąpieniu grudniowym mówiłem o czterech segmentach naszej rzeczywistości. Mówiłem to z myślą, żeby zostało podjęte i żeby działania szły w tym kierunku. Można już zauważyć, że powstają różne grupy, nawet polityczne...
- Raczej partie.
- Nie przerażamy się tym. Dzieje się tak z powodu braku szybkiej skuteczności Związku. Zniecierpliwieni widzą, że trzeba pomóc w innych tematach, nie typowo związkowych. To są na razie pierwsze śliwki robaczywki. Zrodzą się inne, mądrzejsze inicjatywy, bo taki jest bieg rzeczy. Takie rzeczy będą miały miejsce w kraju dopóki nie będą realizowane dążenia, czy żądania Sierpnia 1980. Jeżeli nie będą realizowane w ewidentny sposób, to ludzie siłą rzeczy muszą znaleźć inne możliwości, nie zawsze nawet poważne. Będą się brali za sprawy polityczne itd. Są to skutki tego, że nie można szybciej zrealizować naszych sierpniowych ideałów.
- Gdyby dzisiaj podpisywać porozumienia, żądania społeczeństwa byłoby zapewne daleko większe, głównie odnośnie większych gwarancji.
- Do dzisiaj nie mogę się przebić, chociaż walczę o to cztery lata, z tym, że nasz sierpniowy protest należy rozpatrywać w trzech etapach. Za pierwszym podejdziem nie da rady osiągnąć tego, co sobie założyliśmy. Problem jest złożony. Od początku było jasne, o czym dzisiaj nie wszyscy wiedzą, że Sierpień miał się realizować w trzech etapach. Pierwszy etap, który historycznie skończył się 13 grudnia, wyrósł z negacji. Nie była to negacja dla negacji, tylko negacja po to, żeby w drugim etapie opracować pozytyw.
- Nie wierzę, że zaraz w Sierpniu widział Pan ten okres jako okres

negacji, po którym przyjdzie następny i następny.

- Próbowaliśmy, prawda, w okresie legalnego działania pozytywów. Były przecież np. samorządy. Im jednak bliżej grudnia, tym bardziej kompromisowo przyjmowaliśmy nasze programy pozytywne. W efekcie były tak zniekształcone, że nie były to już nasze programy.

- Dlaczego tak się działo?

- Dlatego, powtarzam, że w pierwszym podejściu nie ma możliwości zanegowania, zbudowania programu i wprowadzenia go w życie.

- W historii znalazłoby się może parę przykładów.

- Ale w naszych warunkach to jest niemożliwe. Może gdzie indziej, tak. Od 13 grudnia historycznie zaczął się drugi etap - tworzenie programu pozytywnego. Żeby znów nie było niejasności, to nie jest odejście od programu Zjazdu i innych naszych programów. To jest po prostu dalszy ciąg. Tamte nasze programy były hasłowe. Hasła są piękne, ale nie wypełniają życia. Teraz trzeba, szczególnie program Zjazdu, przepracować na program techniczny, konkretny, do najniższych komórek organizacyjnych. I to w tematach: gospodarczym, społecznym, a nawet politycznym. Kiedy będziemy mieli te programy, może nastąpić trzeci etap - wprowadzanie ich w życie. Oczywiście, cały czas trzeba brać pod uwagę naszą szerokość geograficzną. Sądzę, że takim materiałem wskazującym co dzisiaj można, co jutro i pojutrze jest ten duży raport "5 lat "Solidarności".

- Według Pana słów od 13 grudnia realizowany jest etap drugi - opracowywanie programów. To już cztery lata, a efekty jakby mało widoczne.

- To jest etap dla mózgowców. Pierwszy był dla robotników, dla milionów. Drugi etap, czyli gabinetowe opracowanie programów. Jesteśmy zaawansowani na jedną trzecią, może nawet jedną piątą. Praca winna się koncentrować wokół 21 postulatów. Nic ponadto, ale jednocześnie należy wziąć się za najniższe komórki, a nie za szczeble centralne. Cała filozofia będzie polegała na tym, że im więcej damy społeczeństwu pewnych zdobyczy, to będzie trudniej to zabrać. Wolne soboty dałimy wszystkim i są. Inne rzeczy zostawiliśmy do decyzji Krajowej Komisji i to nam odebrano.

W przyszości musimy złapać sprawy ekonomiczne, czyli minimum 25% luzu gospodarczego. Z góry nie powinno się narzucać więcej niż 75% możliwości produkcyjnych. Te 25% to byłaby wolność ekonomiczna zakładu. To konieczne, żeby była dobra gospodarka i dobra praca. Bez tego nie będzie pieniędzy. A żeby była dobra praca, ludzie muszą być zainteresowani kombinacjami, potrzebami rynkowymi, lokalnymi etc. etc. A więc musimy złapać ten punkt ekonomiczny i drugi punkt: zebrania załóg...

- ...?

- Zebranie załogi jest największym quorum. Na nim załatwia się wszystko oprócz spraw ludzkich. A przecież pierwszy punkt takiego zebrania na końcu roku powinien brzmieć: co jest z załogą z zeszłego roku? I wtedy pada odpowiedź: 200 zwolniliśmy za pijaństwo, 100 za kradzieże, a 100 bezpieczeństwa kazała zwolnić. I wtedy quorum, gdyby to prawo miało wpisane w regulamin, prosi o przyjęcie tych 100 niewygodnych dla безпеki. O wypłacenie im. Moglibyśmy mieć możliwości ratowania dobrych fachowców.

- To wszystko są dość generalne uwagi. Bardzo to wspaniałe, że jak się okazuje, mamy drugi etap, w którym winni pracować mózgowcy... Ale oto przychodzi do Pana, jako do Przewodniczącego, chłopak z zakładu 4 i pyta: panie Wałęsa, co ja mam robić? Czy ja mam pracować w żółtim

temple, czy na pełną parę? Czy ja ma się cieszyć, że im gorzej, tym lepiej? Tak, panie Przewodniczący, oni chcą pracować tutaj i teraz!

- Zgadza się i teraz znów mam wielkie pretensje do ludzi mózgu, że oni w dalszym ciągu nic nie dali robotnikowi i musi takie pytanie stawiać. To nie jest wina robotnika. On może takie pytania stawiać. Już nie przesadzajmy.

- Pytałam, co Pan mu odpowie?

- Niech pani zrozumie, że teraz jest okres, kiedy każdy z warstwy robotniczej patrzy jakby tu zakombinować, żeby przeżyć. Został prze-trącony moralnie i psychicznie. To jest tragiczne, bo to strata jakieg-oś wielkiego morale pracy. Ubolewam nad tym. Niemniej jednak nie mo-gę robotnikowi powiedzieć: pracuj, czy nie pracuj. - Mało tego - nie mogę powiedzieć: wejdź, czy nie, do samorządu. Nie jestem w stanie, w zasadzie ja już jestem w stanie, ale inteligencja nasza nie opracowa-ła konkretnych rzeczy, na której to podstawie mogłbym robotnikowi od-powiadać. Tu już trzeba robić, bo jesteście spóźnieni.

- Z Pana uwag o kolejnych etapach wynika, że w zasadzie "Solidarność" w czasie swaj legalnej działalności nie popełniła poważniej-szych błędów taktycznych - czy tak?

- Nie popełniła. Nie mogło być inaczej. Mogliśmy się jeszcze poko-nać własnymi programami, bo mieliśmy chęci, ale nie urosło zaplecze gospodarcze, ekonomiczne. Władza, która miała zaplecze eksperckie, go-spodarcze, po prostu nas wymanewrowała. Musieliśmy iść na takie kom-promisy, jakie oni przewidywali. Dopiero teraz mamy szansę na uzyska-nie jednej czwartej luzu gospodarczego.

- Skąd to przypuszczenie o szansie, skoro jest kompletne "dno"? Władza nie idzie i szybko nie pójdzie na żadne porozumienie.

- Zaraz, zaraz... dlatego, że okres negacji nie wytworzył jeszcze programów. My nie dogadaliśmy się jeszcze, ile od tej władzy na dzi-siaj chcieć. Ja bym sobie poradził, ale też musiałbym improwizować. Przecież, jako społeczeństwo, jeszcze nie wiemy, o jaki nam idzie kom-promis. Stąd mówię: bierzcie się do roboty. Mogę jeszcze powiedzieć: czytajcie "5 lat po Sierpniu" po to, żebyście wiedzieli, że jest Zwią-zek Radziecki, że są określone parametry ekonomiczne, że są pewne nie-możliwości... Piszcie o różnych rzeczach, o Afganistanie... no pięk-ne rzeczy, ale to nie jest dla nas najważniejsze.

- Co jest najważniejsze?

- Uporządkujmy raz na zawsze, że w czasie "Solidarności" nie można było inaczej dlatego, że nie mieliśmy programów. Nie mogliśmy ich mieć, bo skąd? Władza była chytrzejsza od nas. Teraz weszliśmy w dru-gi etap i tworzymy te programy. Kto się gdzie zbiera, niech myśli jak powinna wyglądać nasza ekonomia. Nie ta duża, ale ta na terenie zakła-du. Od dołu po prostu. Chciałbym mieć te sprawy zrobione. Ja wiem, że większość działaczy i rozmaici wielcy, to teraz patrzą i wołają: nie da rady, bo Związek Radziecki, bo socjalizm. Nie tak! Nie bierzmy się za Związek Radziecki, tylko weźmy się za jeden zakład pracy i przyjrzyj-my się - dlaczego tak dużo materiałów, dlaczego tyle przestojów itd. itd. Na nim pokażmy, co można by osiągnąć, gdyby była logika ekono-miczna. A potem popatrzymy, co z tego można już dzisiaj załatwić.

- Jeden szkopał jest taki, że władza w zakładzie pracy dopuszcza do rozmów tylko przez siebie powołane organizacje, a nie zbawców ekono-micznych spoza tego kręgu. Nawet odważniejsze rady pracownicze dawno porozwiązano.

- I bardzo dobrze, bo sam tam nie powinien wchodzić, tylko wziąć np.

dwóch kolegów. Ludzie wreszcie muszą się poczuć, że to jest ich zakład. Nikt z Warszawy nie przyjedzie i za nich nie zrobi.

- Sam Pan wie, że są zniechęceni i bez decyzji odgórnej tego nie zacząć robić. Kto ma wydać polecenie?

- Niech się wezmą za myślenie o tym, co można zrobić.

- Będą czekali na decyzję. Już parę razy próbowali.

- Dlatego my, jako działacze - musimy powiedzieć te proste prawdy, że nikt nam nie zrobił

- Teoretycznie to wszyscy wiedzą i co z tego?

- Ale kto powiedział o trzech etapach? Prawie nikt. Kto pamięta o czterech segmentach?

- Gospodarczy, polityczny, społeczny i praworządność... powiedziano pod Pomnikiem.

- A więc wy, ludzie pióra, weźcie się za te główne rzeczy. To nie jest okres robotnika. On ma wam dać dane co do pewnych rzeczy... Jak ja bym chciał całą Polskę uzdrowić, to nic nie zrobię. Trzeba się wziąć od najniższych komórek, wybrać zakłady. Podzielić całą Polskę.

- Na co? Na Stocznnię? Hutę Lenina?

- Nie... dużych zakładów w ogóle nie należy ruszać. Dużych jest 50, czy 100. Duże są efektem finalnym całej pracy gospodarki. One wyjdą, kiedy zrobimy porządek w tych małych. Duże potrzebne są do walki, ale do ekonomii, do gospodarki potrzebne są małe. Jeżeli nie zrobię śrubki to co z tego, że mam telewizor.

- To, co Pan mówi, nie trzyma się kupy. Porządkować ma się od małych zakładów. Zgoda. Ale po to, żeby duże nacisnęły, musi tam być zintegrowana załoga. A gdzież ma się integrować, jak nie w dobrej robocie, czy troszczyć o nią? Dlaczego więc nie robić w dużych zakładach?

- Robić, ale pamiętać, że nawet budowa największego kościoła zaczyna się od pierwszej cegły gdzieś w narożniku. Pamiętajmy poza tym, że nie rozwiąże się problemów Stoczni, jeżeli zawalimy kraj. Zawsze najlepsze są najprostsze rozwiązania i o takie mi chodzi. One chwytają.

- Wyobraźmy sobie, że zawożę Pana do Generała i mówią: porządek teraz Polską. Co by Pan zrobił?

- Jezus Maria, co najmniej przez rok wszyscy opowiadaliby wrażenia kombatanckie i inne.

- Władze w regionach robią to bodaj od trzech, czterech lat.

- Eee ...

- To chyba nie jest droga do zwycięstwa, o którym Pan często mówi?

- Droga do zwycięstwa polega na tym: powiedzcie mi jak powinna wyglądać Polska, o którą walczymy.

- No więc jak? Na Zjeździe widać było, że Przywódca miewał doskonałe wyczucie polityczne, może instynkt. Potrafił błyskawicznie i właściwie ocenić sytuację, ale nie miało to żadnych konsekwencji na przyszłość.

- Słyszała pani o czterech segmentach. Kto coś zrobił w tym temacie? Wiemy, że nasza walka to nasza praca i podług tego jechać dalej. Nie zajmujemy się wszystkim. Nie zajmujemy się Jajtą. Ona wyniknie kiedyś, ale teraz na razie najważniejsza jest praca, efekty pracy... Mam to wszystko w głowie: różny z tej negacji pozytyw. Od najniższych komórek, tam gdzie pracuje 90% ludzi...

- To co nazywa Pan "trzecim etapem", czyli etapem realizacji programów, będzie robione przez nową generację polskich robotników. Nigdy ci sami ludzie nie robią dwa razy "rewolucji". Wtedy Wałęsa nie będzie stał na czele. Przyjdzie do Stoczni jak ten przywódca z 1970 roku. I jak tamten dostanie honorowo czapkę stoczniowcę, wygłosi przemówienie, poklaskują mu... A nowy przywódca będzie tak samo nieprzygotowany, jak przywódca Sierpnia 80. Będzie mądrzejszy o doświadczenia Wałęsy z roku 1980, ale nieprzygotowany do zaskoczeń nowego roku 19...

- Nie... Po pierwsze ja nie chcę być przywódcą, ale to nie znaczy, żebym ja nie poprowadził pod ten etap. Muszę to zrobić, bo nikt mnie z tego nie rozgrzeszy, a potem wolę być za plecami. Mam za dużo obciążeń, za dużo informacji, które by mi przeszkadzały. Ale do tego czasu trzeba przygotować, żeby znów nie podpisywano tysięcy porozumień. Podpisujemy 21 postulatów - tym razem na poważnie. Nie bazujemy jedynie na KKP i na Wałęsie, ale tam gdzie jest chleb, gdzie jest życie zakładu. To nam uporządkuje gospodarkę i to musi nowy Wałęsa wiedzieć. Jak nie będzie wiedział, no to upadek.

- A Wałęsa 1980 tego nie wiedział?

- Niee... Pewien etap widziałem. Wiedziałem, jak robi się strajk, bo ich najwięcej w Polsce zrobiłem. Wiedziałem, jak dochodzić do porozumień. Potem już nie byłem zadowolony z naszej roboty, bo widziałem od początku, że nie da rady za jednym zamachem. Nie miałem programu i przedzie czy później musieli nas rozłożyć. Musiałem więc przedłużyć okres negacji. Od 14 sierpnia wiedziałem, że to powinien być Gdańsk, a nie cała Polska. Myślałem o stopniowym opracowaniu i dopiero potem przerzucić go na cały kraj... Nie dało się. Polska nas przysuszyła. My mieliśmy przemyslenia wolnych związków. Błyskawicznie doszły sprawy ekonomiczne, polityczne. To były zbyt duże ciężary. Następny razem musimy to zrobić dobrze. Mamy nauczkę. Teraz wiem, jak należy robić. Nie od góry załatwiać, a od dołu...

- Chce Pan wychować lepszych Wałęsów. Co ma wchodzić w skład takiego człowieka - charyzma?

- Niee... żeby trafił w okoliczność, w moment - tak jak ja trafiłem. Jeśli jednak nie będzie do tego przygotowany praktycznie, to i tak przegra. Na dzisiaj na nas spoczywa obowiązek przygotowania programów i przygotowania następnej walki... I nie załatwiać wtedy jak KKP z ministrami.

- Pół Zjazdu walczyło się z ministrami w Pana obecności.

- Yes, ale to była największa głupota.

- To jest taka mądrość post factum.

- Yes, ale dlatego właśnie ten nowy etap musi o tym pamiętać. Jeśli minister ukradnie milion, to dużo. Ale jak każdy obywatel ukradnie złotówkę, to jest 36 milionów. I umówmy się co jest ważniejsze. Gdzie odbywa się to życie? Tam trzeba robić, jeżeli tam będzie dobrze, to i...

- Brzmi to jak ewangeliczne opowieści o łożu słomy i belce. Wróćmy więc do realiów. Czy "Solidarność" jako NSZZ ma w tej chwili realnie coś do powiedzenia?

- Nie. Dopóki nie zrobi tego co ja mówię - to nie.

- Jeśli NSZZ nie ma nic do powiedzenia, to jako kto zabiera Pan głos publicznie? Jako niezależny polityk, reprezentant niezależnego społeczeństwa, były przewodniczący Związku, laureat nagrody Nobla?

- Nie, to wszystko jest razem pomieszane. Ja też jestem pomieszany. Moim życzeniem byłoby pozostać na pozycji związkowca, ale siłą rzeczy muszę się zajmować innymi sprawami, choć wolałbym być na pozycji "žadającej".

- Ale tak się złożyło, że nie może Pan żądać - prawda?

- Dlatego proponowałem cztery segmenty...

- Twierdzi Pan, że chciałby głównie siedzieć na "koniu" związkowym. Opowiem więc Panu historyjkę z początków amerykańskich związków zawodowych. Gompers - taki ich Waleśa - został wezwany przed oblicze Senatu. Zapytano go, czego chcą robotnicy. Odpowiedział, że chcą "more". Chcą "więcej" chleba, kiełbasy, wolności, miłości... Czy Pan odpowiedziałby tak samo?

- Niee... Pierwsza rzecz, to musimy zastanowić się w ogóle jak ma wyglądać Polska przez duże i małe "p". Nie mamy na ten temat określonego zdania. Cieszymy się, że za nas ktoś myśli... Dlatego wy, mózgowcy, macie w tym siedzieć. Nie krzyczeć, ale zastanowić się, jak ma wyglądać Polska duża i mała. Wy, mózgowcy, macie dotrzeć do ludzi, żeby wam podpowiedzieli, że Polska to jest ich praca, ich dom...

- W zasadzie można się z Panem zgodzić, choć są to jakby pusta słowa... Jako kto wypowiedział Pan te słowa?

- Jestem robotnikiem, który próbuje coś robić... To wy macie warunki, żeby naprawdę robić, wy, mózgowcy.

- Czy potwierdza Pan tezę o antyinteligentkim nastawieniu robotników?

- To jest prawda. Robotnik bierze za inteligenta swojego brygadzystę, majstra, kierownika...

- Panienkę na poczcie...

- ... to już trochę mniej. Głównie tę inteligencję, którą ma na miejscu. To jest jego inteligencja i miarą tej inteligencji mierzy pozostałą.

- Mówi Pan tak jakby w ogóle nie było Sierpnia. Przecież wtedy coś się chyba zmieniło?

- I to nas tylko ratuje... ale naprawdę mało robotników spotyka się z ludźmi spoza swojej grupy. Tak się żyje, że kumpel to robotnik, na przyjęcie robotnik idzie do robotnika. Kastowe życie. Inteligenta widać w zakładzie pracy, jak mówiłem, i w telewizji.

- O co robotnicy mają głównie pretensje do inteligencji? Pomiramy tę zakładową, bo to jest jakby jasne.

- Ale właśnie kontakt z zakładową rzutuje na całość.

- Czy Pan również ma kompleks antyinteligentki?

- Nie, nie... Ja to wszystko do końca rozumiem.

- Czy rozumiał Pan już przed Sierpnieniem?

- Przed Sierpnieniem miałem ogólne pojęcie, podobne jak wszyscy robotnicy. Oczywiście, spotykałem się z inteligencją, ale widziałem to różnie.

- Władzy bardzo na tym zależy, żeby konfliktować grupy społeczne. Nam powinno chyba zależeć na tym, żeby się jej to nie udawało?

- Trzeba więc wypunktować i powiedzieć twardo, że inteligencja zakładowa, propagandowa, to jest jedno. A drugie, że jest inna, która myśli o Polsce, o sprawiedliwości. Ma utrudnione zadanie, ale próbuje

coś robić. To musi być nasze credo.

- Władza spacyfikowała środowiska robotnicze w pierwszej kolejności. Teraz gorliwiej zabrała się za inteligencję. Czy sądzi Pan, że ze strony załóg robotniczych można liczyć na gest poparcia, czy solidarności np. z wyrzuconymi ze stanowisk naukowcami?

- Robotnik dzisiaj nie będzie bronił naukowców. To jest brzydkie, ale taka jest prawda. To nie jest jego wina. Robotnicy są rozbici, roztrząskani, boją się. Podam przykład. Zawsze w rocznice idę składać kwiaty pod pomnik. Idę przez całą Stocznnię, a pięć szóstych stocznio-
ców idzie w przeciwnym kierunku. Wiedzą, że Wałęsa pójdzie i chyba mu jeszcze nic nie zrobią, ale każdemu innemu tak. Ci, którzy chodzili ze mną, swoje odsiedzieli w więzieniach... Nie ma teraz klimatu do poprowadzenia walki o świetnych naukowców i wychowawców. To nie jest czas na scementowanie, na solidarne wystąpienie robotników. To jest tak, jakbym dzisiaj zasadził ziemniaki. Zamarzną... Na czas musimy trochę poczekać. Ja jestem gotów, ale jako strateg wiem, że to jeszcze nie jest czas. Robotnicy na dziś są podzieleni. Środowisko to nasycono agentami. Nikt nikogo do końca nie zna, a tych lepszych wybrano, powyrzucano - wycięto nam sierżantów. A więc tych podoficerów, którzy nie byli szkoleni, bo po prostu rośli w środowiskach robotniczych. Wycięto nam tych ludzi, którzy razem z innymi na piwko chodzili, ale w środowisku górowali. Jak taki powiedział, to reszta brygady szła. Ze Stoczni zwolniono około 1200, a więc wszystkich, którzy razem z grupą wyrosli i przewodzili grupom. Tych ludzi nie ma. Na ich miejsce przyszli inni. Część może jest agentami, część nie jest. Trzeba trochę czasu, zanim znowu wyrosną nowi przewodnicy stad. Nie ma kto prowadzić... To wy powinniście powiedzieć, co Wałęsa i jeszcze paru ludzi ma zrobić, jeżeli będziecie mieli jakieś sprecyzowane stanowisko. Ja wiem w czym dzieło i wiem, że powinniśmy tego nie dać. Wiem też jednak, że dziś nie jestem w stanie obronić tych wartości.

- Proponuje Pan tworzenie małych grup, które będą punktować, typować, szperać...

- ... proponuję od dwóch lat, żeby przyjrzeć się hiszpańskim metodom walki. Nie walczyli, a przychodzili po cichutku do dyrektora: panie dyrektorze, to można zrobić, tam można... pan zrobi, my zrobimy... Ale to nie jest wielka walka, tylko podskórna. To można robić w każdym zakładzie.

- Wątpię, choć ostatnio wiele się mówi o hiszpańskich metodach. Jeden szkopał w tym, że w Hiszpanii był właściciel, któremu zależało na tym, żeby zakład prosperował. W PRL właścicielem jest państwo, któremu obojętne jest czy zakład splajtuje, czy nie.

- O to ja walczę! Nie dyskutujemy generalnie, bo to nic nie da. Weźmy poszczególny zakład produkcyjny. Wynegujemy... Po zanegowaniu popatrzymy, co w tych warunkach można zrobić takiego, co nie narażałoby systemu, a jednocześnie dało efekty. Z dyrektorem można o tym na imiennych porozmawiać. To jest coś na ten moment, kiedy nie ma możliwości. To jest szukanie drogi, ale żeby na nią wejść, to trzeba się najpierw popatrzeć jakie mamy możliwości... Możemy naprawdę wiele zrobić.

- To co Pan mówi przypomina zawracanie Wisły kijem. Proponuje Pan wejście w styk z władzą i bardzo trudny program drobnych kroków. Sytuacja po 13 grudnia zaś jest taka, że emocje społeczne odrzuciły społeczeństwo od władzy, od systemu. Emocjonalnie społeczeństwo poszło w przeciwną stronę niż władza, w stronę Kościoła.

- Nie proponuję tego. Niczego. Mówię to tworzącym, żeby się zastanowili. Mówię, bo w Hiszpanii coś tam było...

- Powiedział Pan kiedyś, że jest gotów do rozmów z władzą, ale bez

żadnych wstępnych warunków. Czy zastrzeżenie to dotyczyło Pana, jako przewodniczącego Związku, czy też władzy, by ona nie stawiała warunków?

- Żeby cokolwiek zacząć, trzeba usiąść i porozmawiać.

- Mocniejszy zawsze stawia warunki.

- Nie, nie, nie... żadnych warunków. Tylko pierwsza rzecz: usiąść. Jestem za działaniem, które zaczyna się od tego, żeby zacząć. Nigdy nie zdradzę ideałów, nigdy nie zdradzę kolegów, nie zostawię sprawy. Żebym jednak cokolwiek zrobił, to muszę usiąść, poprosić kawę i zacząć.

- W roku 1980 społeczeństwu wystarczyła NSZZ "Solidarność". Sądzę jednak, że teraz stawka byłaby wyższa i może chwyciłby jakiś pluralistyczny model.

- Sam łąpię się na tym, że na bazie czysto związkowej nie możemy osiągnąć zadowalających efektów. Czym dłużej nie będziemy skuteczni, tym częstsze będzie szukanie innych dróg. Z konieczności, czy musu ludzie będą wchodzili w partie polityczne... Czy to będzie skuteczne? Na razie nie. Rozgrywania, pretensje, różni nawiedzeni ludzie... Skuteczność będzie, kiedy zrozumiemy. Wtedy okaże się, że mam wojewodę, czy dyrektora, który drugie tyle daje mi zarobić... Potem muszą się znaleźć ekonomiści i inni, którzy rozwiążą ekonomiczne sprawy... Całość będzie się nazywała "Solidarność" - jako hasło, które teraz jest schowane. Później schowamy je sami, kiedy już osiągniemy, bo my też popełniliśmy błędy.

- Odnoszę wrażenie, że dzieli Pan skórę na niedźwiedziu, który spokojnie w mateczniku siedzi. Na co przewodniczący NSZZ "Solidarność", przywódca polityczny, szef Związku etc. ma istotny i realny wpływ?

- Właściwie... na wszystko i na nic. Jedni uważają, że na nic. Inni, że minimalny... Zdania są podzielone. Ja wiem jedno, że mam obowiązek realizować 21 postulatów. To ma wpływ na to co robię. Muszę mieć swoje koncepcje i konsekwentnie do tej realizacji dążyć.

- Koncepcje miewa każdy, ale kto je przejmie i będzie realizował? Jeżeli ktoś uważa się za szefa związku, przywódcę, znaczy to, że ma je komu przekazywać. Ma komu zlecać wcielanie ich w praktykę życia społecznego, gospodarczego.

- Robię to właśnie, ale nie zawsze jestem rozumiany, chociaż ostatnio już zaczynam być rozumiany. Ludzie zaczynają dochodzić, bo też wiedzą, że nie ma innej drogi. To nie są czasy "zima wasze, wiosna nasza". Społeczeństwo, jakby to powiedzieć, dojrzuje. Mógłbym narzucić wiele rozwiązań, które już są, ale byłoby to narzucone. Wiem, że dzisiaj nie mogę jeszcze nic rozwiązać, dlatego też nie zmuszam ludzi i nie narzucam swoich koncepcji. Chodzi o to, żeby szukali, żeby podpowiadali, a nie żebym ja łądował się do rządzenia. Nie chcę tego i stąd wielu historii nie przyspieszam.

- Czy Pana pogląd dzielą koledzy z władz Związku, którzy siedzą? Czy w ogóle Pan wie, czy oni akceptują pańskie stanowisko?

- Nie... trzeba pamiętać, że ten, który siedzi musi wyjść. Nie mniej jednak czy oni to akceptują, czy nie, mnie to znów tak bardzo nie interesuje. Dobrze, że są, że walczą, że robią świadomość. Świadomości można się w gruncie rzeczy nauczyć. Można się nauczyć na innych przykładach: dobrych i złych. Podobnie i tutaj, chociaż oni robią inne rzeczy niezgodne z moimi, to i tak poszerzają horyzonty myślenia. Trafiają w uliczkę, z której muszą się cofnąć i tak wrócą na te drogi, które ja w swoim czasie będę musiał wskazać.

- Mówi Pan, jakby w Sulejówku siedział.
- Nie, nie...
- Generalnie twierdzi Pan, że to co stało się z "Solidarnością" musiało się stać. Czy twierdzi Pan również, jako przywódca, że w całym okresie trwania "Solidarność" nie popełniła rażących błędów?
- Nie było żadnego. Dużego błędu nie było żadnego...
- Czyli ocenia Pan taktykę 16 miesięcy jako jedyną i bezbłędną?
- Bezbłędną.
- Nie spełniło się wszak połączenie Związku z nadzorem Komisji Krajowej?
- I bardzo dobrze.
- Czy nie było kompromitujące dla Związku to, że do Zjazdu "Solidarność" nie miała programu? A i to co zrodziło się na Zjeździe trudno nazwać programem. Był więc Związek manewrowany przez władzę obojętnie. Zespoły negocjacyjne przegrywały negocjacje. Związek dał się wpuszczać w mnóstwo koncepcji. Nie udało się pogodzić demokratycznych zasad funkcjonowania Związku z kontrolą Krajowej Komisji etc.etc.
- Yes, otóż jeśli chcecie budować demokrację w wytyczonym kursie, to trzeba popełniać błędy, żeby się ich w przyszłości wystrzegać. Nie można było inaczej. Czasami zdarza się, że parę zdolnych dzieci startuje od razu od drugiej klasy. Jednak całe społeczeństwo musi zacząć od pierwszej. Gdybym wtedy powiedział: zaufajcie, to weszlibyśmy na inny stopień. Byłoby jeszcze gorzej. Oskarżyliby nas, że my, tzn. Komisja Krajowa zmanipulowaliśmy tymi sprawami, że to my przegraliśmy. A tak wiedzą, że sami na wiecach podejmowali decyzje, sami robili strajki, przeszkadzali mi. Dzisiaj się wstydzą i takie wnioski muszą wyciągać.
- Bzdura. Mają pretensje do Krajowej Komisji, do Wałęsy, bo nie pokazali lepszej drogi.
- Gdyby pokazali, nie byłoby tej lekcji. Najlepiej uczy się na własnych błędach. Chociaż ja już mogłem być w siódmej klasie, kiedy popatrzyłem na społeczeństwo doszedłem do wniosku, że ono musi samo przeżyć wszystkie klasy.
- Dorabia sobie Pan ideologię. Nie wierzę, że takie rozeznanie, czy takie wizje miał Pan od początku.
- Można mówić, że dorabianie... Niemniej ja miałem wybitne, szybkie rozeznanie rzeczy, które w perspektywie czasu zaczynałem rozumieć i dobrze wychodziły. Mówilem nawet pewne rzeczy, których nie przewidziałem do końca, ale potem jak się przyjrzałem, to były jedyne właściwe.
- Zgadzam się z tym, że miał Pan momenty "olśnienia", błyskawiczne go oceniania dyskutowanych spraw. Jednakże ta umiejętność nie miała żadnych konsekwencji, nie wpływała na tworzenie logicznych koncepcji przyszłościowych.
- Nie mogło tak być, bo budując demokrację trzeba się sparzyć, zrobić parę błędów przy założeniu, że inne ustawienie się nie opłaca. Gdybym od razu wyszedł z apelem, bo mogłem: panowie, żadnych strajków, koniec! No to nie byłoby tych ekonomicznych i politycznych rzeczy... Nie zanegowalibyśmy wielu rzeczy, które w perspektywie musiały być załatwiane.
- Jak wobec tego ocenia Pan rozmaite fazy negocjacji w konkretnych sprawach w okresie "Solidarność"?
- Przede wszystkim... na przykład pokazanie tych ludzi, którzy

przez tyle lat budowali administrację. Chodziło też o to, żeby jak najwięcej ludzi nie mówiło, że Wałęsa to dał, ale że byłem kimś, kogo Wałęsa wziął na rozmowy. Przecież nie mieliśmy niczego, nawet wizji rozmów. Trzeba było tych ludzi przekonać. Iluż ludzi przekonałem w bezpośrednich kontaktach, w negocjacjach... To musi procentować. Musi rzutować na zachowanie, na jakąś walkę. Syn mu przecież kiedyś powie: byłeś, no i co? Ojciec, po coś tam w ogóle poszedł?

W ciągu tych 16 miesięcy nie byliśmy w stanie się przekonać. Nieprawdą bowiem jest, że ci we władzy są durniami. Oni są w złych strukturach, są źle ustawieni, nie mają pewności, że są wybrani, nie mają możliwości być mądrymi. I teraz jest czas na tworzenie tych możliwości.

- Czy uważa Pan, że następnym razem ten system będzie gotów do modyfikacji? Dotychczas udowodnił, że nigdy nie był gotów.

- To, że o tym mówimy, znaczy, że trzeba to zbadać. Jeśli będziemy zmieniać granice... to nie ma o czym rozmawiać. Cały problem polega na tym, że nie możemy brać haseł i rzeczy niemożliwych. Musimy pamiętać o tym gdzie mieszkamy, że jakoś tam funkcjonujemy... to jest ograniczone. I w granicach tej ograniczonej robimy rzeczy ewidentnie mądre. Takie, że oni nie będą mieli wyboru. Dlaczego mi nikt w czasie "Solidarności" nie podpowiedział np. takiego punktu, że w socjalizmie najważniejszy jest człowiek? Dlaczego musiałem po dwóch latach sam na to wpaść? Dlaczego nie wpisaliśmy tego do regulaminu? Mogliśmy ich bić tym socjalizmem... Tym, że musi być w sprawach ludzkich. Wściekłem się, kiedy po roku internowania dowiedziałem się, że takiego punktu nie podpowiedzieli mi intelektualiści.

- I nic więcej by się nie stało, nie zmieniło. Władza dawno uodporniła się na wymyślane przez siebie szczytne slogany, hasła. A jakież z Pana był przewodniczący, jeśli nie miał Panu kto pomóc? Jakich Pan miał ekspertów?

- Zaraz, zaraz... gdybym dzisiaj chciał pomocy, to by mnie chcieli wykończyć.

- Kto?

- Władza. Dlatego dzisiaj muszę być mały, nieskuteczny. To nie jest czas, kiedy powinienem podejmować decyzje w takiej skali i stawiać takie żądania.

- Po wyjściu z internowania podobno Pan nie wierzył w istnienie "Solidarności".

- Kto tak powiedział?

- Ludzie, którzy podobno byli świadkami tego.

- Od początku wiedziałem, że zwycięzę i zwyciężę. Nasze ideały muszą wygrać. Problem jest tylko w czasie. Od początku to wiedziałem. Wszyscy moi doradcy twierdzili, że mój czasokres to jest maksimum rok, a potem muszę się wyłożyć. Twierdzili, że nie ma szans, bym wytrwał dłużej niż rok.

- Trzeba było doradców zmienić.

- Doradcy, pisarze i inni ludzie... patrząc na historię tak twierdzili. A jednak jest koniec 1985 roku i mało tego - jestem przekonany, że jeszcze długo nie dam się złamać. Jeszcze jestem w stanie nie robić niebezpiecznych rzeczy... dlatego, że ja praktycznie wszystko widzę, ale nie przyspieszam pewnych rzeczy. Całą swoją drogą przeszedłem parząc się i dzisiaj mnie nikt mnie nie nabierze, ani nie zawróci. Ale nie potępiam tych, którzy odeszli, czy zdradzili - jak się mówi. Oni nie są zdrajcami. Nie wolno im dzisiaj dawać zbyt dużych cię-

żarów, ale nie potępiać.

- Co powiedziała by Pan człowiekowi, który zająłby Pana miejsce w czasie następnego "przewrotu"? Też miałby poparcie społeczne i powiedział do Pana: Lechu, będziesz tutaj gościem, a ja będę robił. Co by mu Pan powiedział?

- To co powiedziałbym każdemu zawsze: kiedy będziesz miał kłopoty i chciał, to ci pomogę.

- Czy to skromność, czy też nie przewiduje Pan takiej możliwości, póki życia?

- Jak ja tego nie lubię. Nie znoszę takich rozmów. To jest nielogiczne - ja to widzę.

- Ale historia Pana wyniosła - co?

- Nie, nie...

- Każdy dyktator tak mówi: ja nie chcę, nie mogę, ale muszę.

- Nie, proszę panią, nieprawda. To się tylko tak mówi. Ja naprawdę jestem innym człowiekiem. Ja już zrobiłem właściwie wszystko co mogłem zrobić i to mi wystarczy.

- Jeżeli mówimy o przyszłości, to nie rozmawiamy w kategoriach, że ktoś zrobił już wszystko.... To jest takie gadanie.

- Nie. Oczywiście, że nie mamy szans nie zwyciężyć. Tylko żebym ja był na pierwszym miejscu... Nie chcę pierwszego miejsca. Dlaczego ja się utrzymałem? Dawno i daleko bym spadł. Paru ludzi chciało być pierwszymi, a ja nie chciałem. Ja robiłem i przez robotę byłem pierwszy. Przez robotę.

- W latach 70-tych wszedł Pan w opozycję na zasadzie chyba trochę zgrywy? Wieszanie ulotek itp.

- Nie zajmowałem się działalnością intelektualną. Miałem małą wiedzę teoretyczną. Inni bili mnie na głowę teoriami, wyciągając to z tej, a to z tamtej książki. Przyglądałem się temu i nie zgadzałem się. Spotkania, rozmowy z Jackiem i innymi. Spotykałem się i uczyłem. Mówiłem: macie rację, ale właściwie w życiu wasze podejście w naszym klimacie nie może dać sukcesu. Ja zawsze byłem z masami. Wiedziałem jak oni myślą, jak czują, bo zawsze byłem jednym z nich. A wy jesteście tymi molami książkowymi, którzy mają rację, niemniej jednak życie to jest życie. Ja mam 20 lat bezpośredniej pracy. Wszystko znam praktycznie. Doskonale wiem to, czego teoretycy nie mogą wiedzieć. Teoretycy są obciążeni, wyliczą sobie, poprą wiedzą i nie wyjdzie. A ja muszę wybrać.

- Bardzo dobra cecha dla polityka. Polityk powinien umieć wybrać spośród tego, co mu doradcy i życie podsuwają.

- Cały błąd polega na tym, że nigdy do końca nie grałem... Oni mnie nie znali, ja ich znałem. Wiedziałem jakie każdy z nich ma możliwości. Wiedziałem, że jeżeli jest sprawa w Łodzi, to najlepszym człowiekiem będzie tam Jacek Kuroń itd. itd. Patrzyłem więc na sytuację: co tam, jak tam i jak mają się do tego moje wyobrażenia taktyczne, dopiero potem robiłem. Był to okres, kiedy nie mogło być sekciarstwa. Drugi etap, który nastąpi, będzie trochę inny i tu już trzeba będzie grać trochę sekciarsko. Wtedy musiałem mieć wszystkie kierunki, a jednocześnie nie być zdeklarowanym do końca.

- Sceptyczny stosunek Pana do intelektualistów mających tworzyć programy w drugim etapie obniża chyba rangę tego etapu w ogóle?

- Są okresy, kiedy decydującą rolę odgrywa klasa robotnicza, tak

jak było w Sierpniu. Ale są też inne okresy, kiedy robotnik nie może dać horyzontalnych rozwiązań. Tak jak ja nie mogę pisać, bo robię błędy. Drugi etap to etap gabinetów.

- Czyli teraz ma być czas inteligencji?

- Tak. Trzeba się zastanowić jakie mogą być możliwości, parę wariantów i zgodnie z nimi dopracować programy. Zastanowić się jaki powinien być układ organizacji społecznych. Nie wiem... To wszystko musi się wiedzieć. Sam nie dam rady.

- Jak przekonać do tego ludzi?

- Po co? Sami mają się przekonać. Liczymy przede wszystkim na swoje siły. Pamiętajmy, że w gruncie rzeczy, oprócz szczerości społeczeństw Zachodu, są jeszcze gry polityczne. W tych grach politycznych może być aspekt Polski wykorzystywany. Trzeba odróżnić grę polityczną i sympatię społeczeństw. Problem jest złożony, bo Polska zawsze, przez wieki, chciała mieć przyjaciół i nigdy ich do końca nie miała. Liczymy więc przede wszystkim na swoje siły.

- Czy zapraszając Brandta do Gdańska liczył Pan na to, że przyjdzie?

- Nie, nie... od początku nie wierzyłem, ale to nie o to chodzi. Problem polega na czym innym. Brandta trzeba rozpatrywać w dwu aspektach: 1/ jaki był cel jego wizyty? 2/ jaka jest jego pozycja w RFN. To jest jakaś gra Brandta oraz jego i naszego rządu... Dość... dość... zmęczony jestem... Nie mam tej wiedzy książkowej.

- Ale to jakby nie o książkową w tej chwili idzie.

- Zarez, zaraz... rozmawiając musi pani pamiętać, że ja nadrabiam braki koncentracją. Muszę się mocno koncentrować, a jak długo można? Nie mam siły, bo muszę pilnować i tego co myślę, i tego, żeby było dobrze.

- Mam więc na zakończenie łatwe pytanie, choć tak bardzo w to koniunkturalne oświadczenie nie wierzę. Czy jest w naszej historii jakaś postać, która jest dla Pana wzorem, punktem odniesienia, czy może mistrzem?

- Nie ma, nie ma... Jest Jan Paweł II, jest Józef Piłsudski, jest Lech Wałęsa... To są wielkie postacie, robiące wielkie rzeczy w określonych warunkach. A co ja? Ja jestem mały, naprawdę mały. Co mogę - robię, staram się. A jak mnie oceni historia? Nie zależy mi na ocenie, na niczym, tylko na zrobieniu. Koncentruję się tylko na tym, co ja mam do roboty. Nie mam żadnych gwarancji, czy robię to dobrze, ale naprawdę staram się robić to dobrze.

- Jakie błogosławieństwo dawał Lechowi Wałęsie Jan Paweł II w czasie spotkania?

- Są ludzie, z którymi można nawet nie rozmawiać, a jest pełne zrozumienie... słów nie będę powtarzał.

- Podobno od czasów Kazimierza Wielkiego nie było na polskiej ziemi człowieka z taką charyzmą jak Pan?

- Nie, nie... żadna charyzma. Doświadczenie i chęć zrobienia, praktyczne doświadczenie. Nic poza tym. Nie nauczę się np. pisanie bez błędów. Kiedy popełniam błędy to czasami wiem, że pisze się "ż", ale ręka już mi się tak wyrobiła, że pisze "rz"... Koncepcji mam dziesięć, a jak to napiszę - nie podoba mi się. Mogę razem z myśleniem mówić, ale pisać razem z myśleniem nie. Język mnie pędzi, a głowa nie zdąży naprawić.

- Czy zadowolony Pan jest z rozmowy?

- Tak, ale czy z efektów? Nie wiem.
- Bardzo dziękuję za rozmowę, a efekty... Zobaczymy.

Uwarunkowania, ale czy obiektywne ?

Każdy zakręt, każda kolejna faza załamania czy choćby konieczność przygotowania nowego planu rodzą słowa-wytrychy dla usprawiedliwienia stanu ogólnej niemożności. Najpierw owe słowa pojawiają się w oficjalnych wypowiedziach, później przenikają do publicystyki ekonomicznej, wreszcie od rana do nocy stają się powszechną strawą propagandy. Reorientacja, restrukturalizacja, dekapitalizacja - wymieniam pierwsze z wykazu zbitek pojęciowych. Po jakimś czasie mało kto już analizuje ich treść, funkcjonują one samoistnie jako skróty myślowe i objaśnienia wszystkiego.

Czy są to słowa puste? Nie, prawdą jest przecież, iż bez głębokiej restrukturalizacji gospodarki nie ma mowy o postępie. Paradoks czy może makiewelizm propagandy sprawia jednak, że te wytrychy niekoniecznie otwierają drzwi do przyszłości, czasem skutecznie je zamykają. Restrukturalizacja jest oczywiście konieczna i im głębsze będą zabiegi temu celowi służące, tym lepiej. Ale zmiany głębokie niejako automatycznie oddalają horyzont celu. Czy bowiem można skutecznie pokonywać kryzys, inflację i wszystkie inne schorzenia gospodarki, skoro jej struktura jest ułomna i mechanizmy niedoskonałe? Trudno, trzeba jeszcze poczekać spokojnie i precyzyjnie szlifować narzędzia działania i na razie gościć się z niedoskonałościami życia. Jest też zrozumiałe, że ktoś musi owe strategiczne plany konstruować i nimi zawiadywać; najlepiej z tego zadania może się wywiązać sztabowe centrum, tymczasem nie wolno go więc osłabiać, przeciwnie - nawet warto wzmacniać jego funkcje.

PUŁAPKA BEZRADNOŚCI

Kłopot polega jednak na tym, iż słowa-wytrychy wycierają się dość szybko, stale trzeba szukać nowych. W taki oto sposób przy okazji przygotowywania założeń planu gospodarczego pięciolecia 1986-1990 pojawiło się kolejne zakłęcie, którego karia jest błyskawiczna: obiektywne uwarunkowania. W komentarzach towarzyszących pierwszej sejmowej prezentacji wariantów planu w połowie 1985 r. pojawiła się nawet supozycja, iż jest to najlepiej opracowana część elaboratu Komisji Planowania. W sposób niezwykle sugestywny uzasadnia ona mianowicie tezę, że koniecznością obiektywną jest wydłużenie kryzysowej feli na lata dziewięćdziesiąte!

Nie jest moim celem - nie ma zresztą takiej potrzeby, wystarczy przecież pobieżna lektura założeń tego planu - udowadnianie, iż centrum przedłuża okres trwania kryzysu o co najmniej następne pięciolecie. Okazuje się, że załamanie "planowe" trwać będzie minimum osiem lat /plan trzyletni plus nowe pięciolecie/, a wraz z okresem "anarchii" ponad dziesięć. Być może osiągniemy rekord we współzawodnictwie z gospodarkami "nieplanowymi".

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego musiał się pojawić nowy wytrych i skąd bierze się jego kształt w postaci "obiektywnych uwarunkowań". Uwarunkowania woluntarystyczne pozostawiły w spadku lata siedemdziesiąte, subiektywne wywołał początek lat osiemdziesiątych, teraz mamy obiektywne. Poczucie bezradności wobec nieszcześć losu zatacza /zresztą zgodnie z tym, co pisałem na wstępie/ coraz szersze kręgi. Z rosnącym przerażeniem czytam na przykład wypowiedzi czołówki oficjalnych reprezentantów polskiej ekonomii, choćby na łamach "Życia Gospoder-

czego"; przerożenie wywołuje poczucie totalnej niemożności, jaka prze-
bija z ich słów. Oto na przykład prof. Kuziński powiada:

"...Nie jesteśmy dziś w stanie nawet odpowiedzieć na pytania, jaki
będzie zasięg dekapitalizacji majątku trwałego i załamania produkcyj-
nego w przemyśle przetwórczym ani w roku bieżącym, ani w latach na-
stępnych... Według danych GUS, wartość umorzenia w przemyśle przetwó-
rczym kształtuje się na poziomie 250 mld zł, podczas gdy wartość nakła-
dów kierowanych na cele odtworzeniowe w tymże przemyśle nie przekrę-
dzi 160 mld zł..."

Wtórnie mu prof. Rydygier: "Sprawa inwestycji na cele socjalne i o-
chronę środowiska. Zgadza się, rzeczywiście w tej sferze jest bardzo
dużo odłożonych potrzeb, tym bardziej jeśli uwzględnić coraz trudniej-
szy problem zaopatrzenia w wodę. Ale nawet w tej grupie niesłychanie
ważnych społecznie inwestycji uchylić się dziś nie da pytania, na ile
stać nas na odrabianie tych zaległości..."

A kropkę nad "i" stawia prof. Pajestka dowodząc, że "...łatwo wyka-
zać, że obie te linie /restrukturalizacja gospodarki i procesy innowa-
cyjne - przyp. A.P./ są u nas jakby niedrożne, zatłane. I to zatkanie
tkwi głównie, aczkolwiek nie wyłącznie, właśnie w inwestycjach. W ska-
li makro wpłynęły na to dwa czynniki. Pierwszy to odziedziczony po la-
tach siedemdziesiątych garb inwestycyjny, drugi - spadek stopy inwe-
stowania. Razem one wzięte w istocie nie pozwalają na żaden ruch i
stąd półgębkiem mówimy również w oficjalnych wystąpieniach zarówno o
zmianach strukturalnych, jak i całej problematyce innowacyjnej..."

Te cytaty pochodzą z dyskusji zatytułowanej "Inwestycyjna arterio-
skleroza", opublikowanej na początku 1985 roku w "Życiu Gospodarczym".
Poprzednia dyskusja - prowadzona również w podobnym, kompetentnym gró-
nie - dała zbliżone rezultaty, które najlepiej scharakteryzuje bezrad-
ne rozłożenie rąk - tylko takie skojarzenie narzuca lektura tych tek-
stów. Bo jak inaczej zareagować na kolejny głos prof. Rydygiera, który
powiada tak: "Prof. Pajestka mówi o konieczności podniesienia stopy
inwestycji. Z punktu widzenia istniejących potrzeb taką konieczność
nietrudno uzasadnić. Ale jak się spojrzy na to od strony podziału do-
chodu narodowego, to nasuwają się zasadnicze wątpliwości...". Inni
dyskutanci dowodzili, że w istniejącej sytuacji ratunkiem jest przyję-
ty schemat podziału środków inwestycyjnych na kompleksy, w myśl które-
go na żywność, mieszkanie i energetykę idzie po 30% nakładów. Ale znów
prof. Pajestka: "...sprowadzając rzecz do absurdu, kiedy już dojdzie
się do poziomu nakładów zero, to cóż rozwiązuje te 30% od zera? Walka
o podział dochodu i przywilejów przerzuca się na inwestycje. To spara-
lizować może wszelką racjonalność polityki gospodarczej w każdym sy-
stemie..."

Rzeczywiście paraliżuje, mimo wysiłków propagandy utrzymującej, że
gospodarka wychodzi już na prostą i mimo że obrazy sklepowych półek
jakby potwierdzają te oceny. Analiza oficjalnych statystyk przeczy
jednak optymizmowi. W istocie żaden z kluczowych problemów gospodarki
nie został rozwiązany, a nawet nie zbliżył się do rozwiązania, poza
może kwestią żywności, ale to właściwie jedyny splot autentycznych
"uwarunkowań obiektywnych", głównie atmosferycznych. Co gorsza, nie
widać szans zatrzymania ruchu w dół, czego właśnie dowodem są perspek-
tywy obecnego pięciolecia. Czy to jednak wynik "obiektywnych uwarunko-
wań"? Zaryzykuję tezę, iż jest to skutek polityki prowadzonej przez
centrum gospodarcze, a nie rezultat nieuniknionych konieczności.

Oczywiście, jeśli uwarunkowania analizuje się w danej chwili, to
można uznać, iż mają one charakter jakby niezależny od własnych dzia-
łań. Jednakże w gospodarce niewiele jest czynników całkowicie nieza-
leżnych od polityki ekonomicznej; większość uwarunkowań ona sama two-
rzy i od jej kształtu zależy możliwość ich zmiany. Zapewne każdy zmia-
na wymaga czasu, ale im sytuacja trudniejsza, tym zawsze tego czasu
mniej i tym niezbędniejsze są działania spektakularne, owocujące moż-

liwie najszybciej, nawet jeśli tworzą też załączki innych zagrożeń. Jeśli więc formułować zarzuty wobec polityki gospodarczej ostatnich lat, to na pierwszym miejscu wymienić należy pasywność. Okopała się ona w okopach, jakie dziś nazywa "uwarunkowaniami obiektywnymi" i główny wysiłek kieruje na udowodnienie nieuchronności swej pasywności czy też ostrożności, a nie na działaniach szybciej owe uwarunkowania likwidujące lub choćby ograniczające.

Na obronę swej polityki centrum przytacza zwykle negatywne doświadczenia minionej dekady, której cechą było właśnie nieliczenie się z możliwościami. To prawda, że eksperymentowanie na żywym organizmie narodu jest zabiegiem nad wyraz ryzykownym, zwłaszcza wówczas, gdy czyni się to bez dostatecznych plenipotencji ze strony społeczeństwa, al argument ten niewiele jest wart, skoro dotychczasowa polityka gospodarcza doprowadziła do sytuacji, w jakiej już nic - lub prawie nic - nie jest możliwe. Uniknęła ona niespodziewanych wstrząsów, zapewniła minimum biologicznego przetrwania, ale jednocześnie utrwaliła - i czyni to nadal - proces oddalania się kraju od świata i uniemożliwia w jakiejś realnej perspektywie osiągnięcie kontaktu z nim. I to pod każdym względem.

ZACIŚNIĘTE SZCZĘKI

Znaleźliśmy się ponadto w pułapce bezradności. Jej szczęki zaciera się z każdym rokiem, każdym miesiącem nawet. Powtarzam: nie jest to rezultat nieuchronnych konieczności, ale następstwo pasywności polityki gospodarczej. Otóż polityka taka nie może stanowić drogi wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazł się kraj. Upraszczać można przyjąć, że pasywność polityki gospodarczej sprowadza się do różnych działań obronnych. Jest to więc obrona przed galopującą inflacją, nierównowagą budżetową, wzrostem cen itd. Jeśli analizować wszystkie gospodarcze posunięcia rządu w ciągu ostatnich lat, to łatwo udowodnić, że większość z nich miała właśnie taki obronny charakter. Nawet jeśli każde z tych posunięć z osobna da się jakoś uzasadnić, nawet gdyby okazały się one skuteczne /a przecież takimi nie były/, to i tak rezultaty byłyby widoczne dopiero za kilka lat. Tymczasem czas gra przeciw nam, przeciw krajowi.

Każdy niemal dzień potwierdza narastanie wielorakich zagrożeń. Wróciliśmy niemal do skali luki inflacyjnej, jaka motywowała podwyżkę cen z 1982 roku, właściwie istnieje "obiektywna" potrzeba powtórzenia takiej operacji; tyle że dziś ilość cen zwanych urzędowymi jest mniejsza, więc galopada w obszarze cen umownych i rynkowych trwa nieprzerwanie. Tylko że cztery lata temu władze miały dwa potężne atuty za sobą: stan wojenny i nadzieję - tego nie należy lekceważyć - części przynajmniej społeczeństwa, iż jednorazowa likwidacja inflacyjnego garbu oczyszcza pole działań reformatorskich. Obecnie tego drugiego argumentu brak szczególnie.

Cenowa hossa przy jednoczesnym, szybko postępującym rozwarstwieniu dochodowym społeczeństwa nierównomiernie powiększa strefy względnego dobrobytu i niedostatku; rozwarstwienie to dokonuje się kosztem środków, który nie tylko się zmniejsza, ale także obniża swój średni standard. Jest to zjawisko tym groźniejsze, że kryzys szybko wkracza do naszych domów. To nowy jego element. Proszę zwrócić uwagę, że większość tego, co posiadamy - mam na myśli wyposażenie mieszkań, zmechanizowany sprzęt, telewizory, pralki, lodówki, samochody itd. - pochodzi najczęściej z połowy lat siedemdziesiątych; te dobra z reguły mają mniej więcej dziesięcioletni okres trwałości i właśnie się on kończy. Istnieją nikłe szanse odtworzenia domowego majątku, na przeszkodzie staje bariera nie tylko fizyczna, ale również finansowa. Gwałtownie obniża się też ogólny standard tego, co nazwać można cywilizacyjną otoczką codziennego życia - poziom usług, utrzymania infrastruktury miejskiej, czystości otoczenia, służby zdrowia itd. Norma staje się brud, smród i ubóstwo.

Narasta klęska ekologiczna. Nie tak dawno prasę obiegły kolejne raporty o stanie przestrzeni kraju; wynika z nich, że zagrożenie zwiększa się w tempie geometrycznym. Nie miejsce tu na cytowanie makabrycznych szczegółów tych diagnoz, wystarczy podać, że około trzecia część ludności Polski żyje w warunkach sprzecznych z podstawowymi wymogami higieny. Każdy rok o mniejszej ilości opadów grozi totalną suszą, już w 1984 r. kilka miast, w tym Kraków, zaopatrywane były z beczkowozów. Zima ubiegłoroczna, przeciwieństwo nie najmroźniejsza, ujawniła, że cała infrastruktura miejska sypie się - awarie sieci ciepłej, kanalizacyjnej i wodnej były na porządku dziennym; tegoroczne wcześniejsze jej przyjęcie jeszcze bardziej rzecz uzmysliło.

To są objawy dostrzegalne przez każdego, ale przecież nie tylko one wywołują zagrożenie. Z ostatnich danych wynika, że nadchodzący wyzwanie dla naszego społeczeństwa, w wieku szkolnym wymaga budowy w drugiej połowie lat osiemdziesiątych co najmniej 2 tys. budynków szkolnych, gdy tymczasem optymistyczne przymiarki inwestycyjne resortu oświaty mówią, że - mimo proklamowania Narodowego Czynu Pomocy Szkole - w najlepszym razie przybędzie 600 takich obiektów. Ponoć nawet poważnie rozważa się propozycje skrócenia programów szkolnych, by dostosować je do możliwości lokalowych, a nie odwrotnie. Sypie się służba zdrowia, kultura nie może liczyć na żadne poważniejsze inwestycje.

Dramat ogarnia budownictwo mieszkaniowe. Jak pamiętamy, rządowe szacunki minimalnych rozmiarów inwestycji mieszkaniowych operowały liczbą 300-350 tys. nowych mieszkań wznoszonych rocznie jako warunku powstrzymania regresu. Tymczasem buduje się nadal mniej niż 200 tys. Instytut Kształtowania Środowiska ocenia, że niezbędne jest wybudowanie w latach 1981-1990 około 4,3 mln nowych lokali; już wiadomo, że w pierwszej połowie tego okresu przybędzie około 800 tys. - reszta jest milczeniem. Dzieje się tak, mimo że buduje się gołe osiedla mieszkaniowe, bez niezbędnej infrastruktury usługowej. Można przyjąć, że dziś kolejka mieszkaniowa przekracza 20 lat! Luka remontowa i luka infrastrukturalna w miastach gwałtownie się pogłębiła.

Nie lepiej dzieje się w sferze przemyślu. Właściwie należy już przestać mówić o luce technologicznej; jest ona tak duża, że szanse odrobienia dystansu między nami a rozwiniętym światem wydają się bliskie zeru. Tym bardziej, że rozwinięty świat wszedł w nową fazę rozwoju, której symbolem stała się mikroelektronika i roboty przemysłowe. My zaś nie tylko nie czynimy kroku w tym kierunku, ale tracimy to, co kiedyś mieliśmy, nie jesteśmy bowiem w stanie zahamować procesów dekapitalizacji majątku trwałego.

Myślę, że nie warto dalej mnożyć przykładów regresu, każdy właściwie potrafi z własnych obserwacji dowolnie rozszerzać tę listę. Powtórzę jedynie konkluzję, do jakiej ona zmusza: nie udało się rozwiązać żadnego strukturalnego problemu gospodarki kraju, a obecna polityka gospodarcza nie zapowiada takiej możliwości w kolejnym pięcioleciu.

ROZWIĄZANIA ALTERNATYWNE

Centrum twierdzi, że to jednak nie jego wina, tylko "uwarunkowań obiektywnych" i że nie ma alternatywy dla jego polityki. Zapewne nie ma żadnych rozwiązań przeciwnastawnych, ale skoro zastosowane dotąd nie prowadzi do celu, to wszystko powinno nakazywać ich zmianę. Tyle, że póki nie zmieni się sposobu myślenia i weryfikację wielu obiegowych pojęć traktowanych ciągle jako dogmaty, póty poszukiwania alternatyw mogą okazać się rzeczywiście bezowocne. Nie jest to przecież takie nie możliwe - ostatnio uczestniczyłem w dyskusji, w której jeden z jej uczestników przypominał, jak łatwo udało się wyeliminować z oficjalnego języka pojęcie kułaka; po prostu priorytet wyzwywania okazał się ważniejszy niż dogmat ideologiczny. Otóż nie ulega wątpliwości, że istnieje sporo podobnych sytuacji, a dramat gospodarczy kraju nakazu-

je sięgnięcie po tę metodę. Z całą pewnością ujawni się wówczas, że część "uwarunkowań", uważanych dotąd jako obiektywne, jest całkowicie subiektywna.

Proszę nie traktować tego, co dalej, nawet jako zarysu choćby programu działań alternatywnych, to przekracza możliwości publicysty. Chce jedynie wskazać na skutki myślenia w dotychczasowej konwencji i szansę, jakie stworzyć może jej zmiana. Każda z moich propozycji wzbudzi zapewne opory z różnych stron, nie tylko z pozycji centrum gospodarczego, które z natury nie jest skłonne do ryzyka, ale sądzę, że im przykład bardziej szokujący, tym lepiej dla sprawy. Może zachęci to strategów centrum do poszukiwania rozwiązań bardziej wyważonych, ale jednocześnie skuteczniejszych od tych, jakie obecnie proponują.

Propozycja pierwsza dotyczy oczywistości, mianowicie faktu, iż klucz - a nie wytrych - umożliwiający rozwiązanie polskich problemów gospodarczych tkwi w sferze produkcji, a nie w sferze podziału. W naszej sytuacji bowiem znacznie większe niebezpieczeństwo wywołuje niewykorzystanie potencjału wytwórczego aniżeli inflacja. Mimo niskiej efektywności w większości przypadków koszty własne produkcji i zbywalnej są niższe od ceny wytwarzanych dóbr i zawsze cena jest instrumentem bardziej elastycznym od innych. Stąd wniosek, że polityka gospodarcza powinna być nastawiona na skuteczne maksymalizowanie produkcji rynkowej, eksportowej i - generalnie rzecz ujmując - potrzebnej. Osiągnięcie szybkich przyrostów takiej produkcji jest ważniejsze niż cena, jaką za to się zapłaci.

Tą ceną w pierwszej kolejności będzie oczywiście fundusz płac ze wszystkimi jego konsekwencjami, przede wszystkim inflacyjnymi i nierównością w sferze podziału. Tymczasem polityka gospodarcza czyni wszystko, by właśnie blokować płace i w konsekwencji produkcję. Temu celowi służy cały system podatkowy, FAZ /nowa nazwa tego rzeźnika jest mało ważna/ i dziesiątki przepisów ograniczających aktywność gospodarczą. Mimo braku wszystkiego, każdy ucieka, jak może, od produkcji i dba tylko o to, by nie przekroczyć jej pułapu, skazującego na fiskalne restrykcje. Gdyby przynajmniej dzięki takiej polityce inflacja i nierówności zniknęły, ale oba te zjawiska mają się znakomicie. To właśnie przykład skutków pasywnej, obronnej polityki. Jej alternatywą powinna być polityka aktywna, nawet decydująca się na świadome utrzymywanie inflacji, ta bowiem w tych warunkach jest i tak nieunikniona, zapewniając wzrost produkcji i wykorzystanie aparatu wytwórczego. By jednak było to możliwe, trzeba się odważyć zdecydować na płacenie - ludziom i producentom - za wzrost produkcji, bez względu na to, gdzie i jak ona powstaje. A więc zmienić cały system podatkowy, znieść mechanizmy blokujące itd. pod warunkiem, że płaci się za produkcję sprzedaną. I dopiero po osiągnięciu względnie poziomu obfitości zdecydować się na działania antyinflacyjne, łącznie z reformą walutową.

Na tym tle jednak innego wymiaru nabierać musi kwestia rozwarstwienia dochodowego i nastrojów egalitarnych. Restrykcyjna polityka gospodarcza wymaga wsparcia propagandowego, które skutecznie wzmacnia te nastroje, głęboko zakorzenione w społeczeństwie. Egalitaryzm jest nawet wygodny, bowiem wzmacnia, wedle niektórych, "socjalistyczną" świadomość społeczeństwa. Nie zmienia to jednak faktu, iż program zaspokojenia potrzeb na niskim poziomie - a nawet utrzymywania potrzeb na takim poziomie - jest kolejnym czynnikiem hamującym rozwój. Nado godzi on w aktywność i wzmacnia nastroj beznadziejności, a także oczekiwania na pokonanie przez państwo wszystkich trudności. Póki więc pogląd, że aktywna polityka gospodarcza, stanowiąca jeden z kardynalnych warunków przezwyciężenia kryzysu, choć powoduje rozwarstwienia społeczne, ale mimo to jest konieczna, nie zyska aprobaty społecznej, póty nic się nie zmieni. Znow w grę wchodzi hierarchia celów - jeśli celem głównym ma być pobudzenie wzrostu, to nie wolno jednocześnie uruchamiać mechanizmów aktywności stopujących, nawet jeśli da się je wywieść z doktryny. Jak dotąd, propaganda skutecznie wspiera dość powszechną niechęć do aktywnych.

Obok aktywnej polityki płacowej, drugim czynnikiem sprawczym ożywienia gospodarczego musi być uzyskanie zasilenia zewnętrznego. Z wielu powodów, nie tylko na skutek błędów ekipy gierkowskiej, Polska nie może rozwijać się bez wielostronnych i ścisłych kontaktów gospodarczych ze światem - mówienie o "stanięciu na nogach o własnych siłach" lub dzięki reorientacji polskiego handlu zagranicznego powinno podlegać ocenie Trybunału Stanu. Nie wiem, czy ktoś poważnie traktował te hasła, ale faktem jest, że dążenie do takiego zrównoważenia bilansu płatniczego kraju bez rozwiązania globalnych problemów w wizerycielami musiało spowodować drastyczne ograniczenie importu; rozkręciło to w sposób oczywisty spiralę spadku, powodując narastające niewykorzystanie potencjału wytwórczego, który bez importu nie może istnieć. Można oczywiście obwiniać za to Reagana, ale - poza wątpliwymi skutkami propagandowymi - niewiele to daje.

Lista podobnych przykładów jest ogromna - należałoby z całą pewnością umieścić na niej niekonsekwencje polityki rolnej, cenowej, cały mechanizm fiskalny skierowany przeciw rzemiosłu i usługom, kampanię przeciw firmom polonijnym itd. Wszystkie te dowody braku konsekwencji i zataczania się polityki gospodarczej od ściany do ściany świadczą w istocie o tym samym. Mianowicie o braku wyobraźni, o pasywności dyktowanej obawą przed nieznanym lub kurczowym trzymaniu się stereotypowych - żeby nie napisać: doktrynalnych - rozwiązań, które niczego przecież nie rozwiązują.

ZAPRZEPASZCZONE SZANSE

Czy mogą być inne? Powtarzam to pytanie, ma ono bowiem kluczowe znaczenie dla oceny polityki gospodarczej i stopnia "obiektywności uwarunkowań". Spróbuję na nie odpowiedzieć operując przykładami z jednej tylko, ale za to najtrudniejszej, płaszczyzny: zasilenia zewnętrznego, owego najsilniej działającego hamulca wzrostu. Odrzucam oczywiście rozwiązania najprostsze, a więc utrzymanie sytuacji sprzed grudnia 1981 r., jako - być może - niemożliwe do przyjęcia. Oznacza to, że nie można było nawet marzyć o konwencjonalnym zasileniu zewnętrznym. A o niekonwencjonalnym? Przecież kraj dysponuje majątkiem, którego wartość - mimo dekapitalizacji - znacznie przekracza wysokość naszego długu. Mieliśmy, i mamy nadal, ciężący niezwykle silnie balast inwestycji niezakończonych o sporym zaangażowaniu kapitałowym. Czy wykorzystano więc szanse uruchomienia tego majątku na zasadzie współpracy kapitałowej? Przecież wcale nie trzeba było szukać chętnych, oni sami pukali do naszych drzwi, z reguły bez odzewu nawet. Japończycy wykazywali wysokie zainteresowanie Żeraniem, Polcolorem i paroma innymi kolosami przemysłowymi, zupełnie inaczej niż na było finalizować inwestycje w Ursusie, znów lista przykładów jest obszerna, przy czym mowa o inicjatywach z zewnątrz, a nie o poszukiwaniach z naszej strony.

Krótko mówiąc, możliwości napływu kapitałów, tworzenia różnych spółek z jego udziałem i to przy zachowaniu nawet przewagi strony polskiej, było bez liku. Wszystkie szacunki wskazują też, że teoretycznie w grę wchodzić mogły kwoty znacznie przewyższające raty spłat naszego zadłużenia i tworzące wystarczającą swobodę manewru. Oczywiście, wspomnieli Japończycy nie działali z pobudek dobroczynnych czy miłości do nas - im od dawna zależało na tworzeniu w Europie bazy montażowej swych samochodów. Żerań nadawał się do tego idealnie, podobnie jak Polcolor był interesujący jako punkt wypadowy dla ekspansji ich sprzętu telewizyjnego.

Ktoś powie, że to byłaby droga oddania się w niewolę gospodarczą. Być może i to też należało brać pod uwagę w czasie ewentualnych pertraktacji. Ich brak sprawił jednak, że mamy na Żeraniu rozpadającą się fabrykę, z której już żaden samochód nie wychodzi zgodnie z wymogami i rozważamy kupno nowej licencji. Jest to zbyt wysoka cena za cnotę.

Idźmy dalej tym śladem. Jeszcze nie tak dawno, wiosną 1985 roku, przywoziłem ofertę jednego z największych francuskich konsorcjów budowlanych, proponującą /na niezwykle atrakcyjnych warunkach/ możliwość modernizacji większości naszych tzw. fabryk domów; dawało to szansę ilościowego i jakościowego skoku mieszkaniowego i dodatkowo spore korzyści materialne dla nas /oczywiście dla Francuzów też/ -nawet nie podjęto negocjacji. A skoro jesteśmy na budowlanej łączce, to inny jeszcze przykład: najnowocześniejsze i najekonomiczniejsze cementownie opalane mazutem przerabiamy na węgiel, którego zresztą cementownie nie otrzymują i część z nich w ogóle nie pracuje lub pracuje na pół obrotu, mimo że koszt przeróbki jest ogromny. Dziś cement znów limituje rozmiar budownictwa. Tymczasem sam przekazywałem odpowiednim naszym władzom zainteresowanie Szwedów cementem w zamian za dostawy mazutu. Też bez rezultatów.

Inny dowód dostarczają perypetie związane z Fundacją Rolną. Jeszcze przed dwoma laty wydawała się ona przedsięwzięciem ogromnym, dziś stro- na rządowa twierdzi, że zainteresowana jest nim słabiej, bo... nie ma szans na miliardy. Skala jest rzeczywiście mniejsza, bo czas uciekł. Być może straciliśmy w ten sposób kolejną szansę zmodernizowania tego, tak ważnego przecież, sektora gospodarki. Oraz kolejną możliwość niekonwencjonalnego zasilenia zewnętrznego.

W grę wchodziły zresztą nie tylko takie możliwości. Z ogromnymi oporami otworzono, a raczej uchylono, furtkę dla kapitału umownie nazwanego polonijnym /tak jakby kapitał miał w ogóle narodowość/. Abstrahując od faktu, że ze względów czysto propagandowych czy może wymogów wewnętrznej gry politycznej jego możliwości są stale ograniczane, choć przecież barwność wielu sklepowych półek tylko jemu zawdzięczamy - mniej ważne, czy są to akurat towary najpotrzebniejsze lub jakościowo najdoskonalsze - to musi co najmniej dziwić, że podobnych do Polonusów szans nie posiada właściciel dowodu osobistego wydanego przez władze PRL. Albo posiadacz obcego paszportu, który nie może się wykazać posiadaniem babki czy ciotki ze śladem polskiej krwi. Przecież to oczywiste bezsensu gospodarczy! Świadczy on o wyraźnej niechęci czy wyraźnych obawach zapewnienia zarówno dopływu kapitałów obcych do Polski, jak i prób aktywizacji wewnętrznych źródeł akumulacji. Jest przecież oczywiste, że w kraju są środki równe tym, jakie zainwestowali Polonusi i tak samo dobre pomysły produkcyjne, które można by wykorzystać dla rozruchu maszyny gospodarczej. Pod warunkiem, że władze zdecydowałyby się na reorientację własnej polityki i systemową gwarancję trwałości przyjętych rozwiązań. Niestety, niewiele wskazuje na to, by polityka gospodarcza ostatniego pięciolecia uiała czy chciała dostosować się do wymagań narzuconych przez sytuację gospodarczą kraju. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że istniała szansa zaproponowania innej, bardziej aktywnej polityki ekonomicznej. Gdyby jeszcze do tego reforma była wdrażana w sposób konsekwentny, to nie ulega wątpliwości, że większość uwarunkowań, jakie dziś określa się jako obiektywne, nie byłaby tak groźna, a część - być może - należałaby do historii.

Inna sprawa, że zmiana polityki i nadanie jej niekonwencjonalnych kształtów wymaga głębokich zmian w sposobie myślenia centrum. Zapewne to jest najtrudniejsze. Czy w ogóle możliwe? Nie wiem. Chciałem tylko wykazać, że fałszywe jest twierdzenie o braku alternatywy dla prowadzonej obecnie polityki gospodarczej lub o obiektywnym charakterze uwarunkowań trzymających nas w niewoli bezradności.

ALEKSANDER PASZYŃSKI

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"./

DWUGŁOS : OPOZYCJA

Opozycja polityczna istnieje w każdym kraju na świecie, jej statutus zależny jest od panującego ustroju a działalność mniej lub bardziej utrudniona. W krajach socjalistycznych utrudnienie to polega na negowaniu samego zjawiska. Przypadek Polski, który zamierzamy tu opisać, jest szczególny. Polskę traktować można jako jeden z krajów bloku socjalistycznego i opisywać ją w kategoriach tzw. "totalitaryzmu typu sowieckiego". Można też, i tak postaramy się na to patrzeć - traktować nasz kraj jako przypadek indywidualny, w dużym stopniu niezależny od pewnej homogeniczności ustrojowej, propagowanej i narzucanej przez Wielkiego Brata.

Biorąc pod uwagę punkt widzenia władz opozycja w Polsce nie tyle jest, ile bywa. Czasem władza chętnie przyznaje się do opozycji, zwłaszcza wtedy, jeżeli wydaje się jej, że dysponuje argumentami, wobec których opozycja zblednie i zamilknie a społeczeństwo się od niej odwróci. Czasem zaś, podobnie jak w innych krajach socjalistycznych, opozycji polskiej nie ma i być nie powinno.

Z kolei opozycja ze swej strony bardzo dobrze wie, że jest i działa. Wiadomo także, że różny jest jej stosunek do funkcjonującego reżimu i różny jest jej oddziaływanie. By jednak wyjść poza niejasną kategorię "różny", proponujemy przedstawienie typologii, sporządzonej przez J. Linza, zbudowanej w oparciu o badania autorytarnego reżimu frankistowskiej Hiszpanii.

W tym celu trzeba najpierw określić typ reżimu panującego w Polsce. Jak już wspomniano wyżej, Lins opracował swoją typologię w odniesieniu do reżimu autorytarnego, którego cechy podał posługując się przykładem Hiszpanii. Autorzy zachodni pisząc o Polsce często używają terminu "reżim totalitarny". W typologiach bardziej ogólnych - jak np. typologia R. Dahla, proponująca continuum od poliarchii do hegemonii - istnieją reżimy mieszane, mniej lub bardziej bliskie typom idealnym. Można by więc dla naszego kraju zaproponować kategorie reżimu mieszanego. Opowiadając się za tym rozwiązaniem spróbujemy uzasadnić nasze stanowisko.

Przytoczmy na początek, w ogólnych zarysach, charakterystykę reżimu autorytarnego Linza. Reżimy te cechuje pluralizm limitowany oficjalnie lub de facto. Źródłem władzy i opozycji w tym systemie jest nie tylko ta grupa ludzi, których się reprezentuje, ale przede wszystkim zaufanie szefa państwa, junty lub monarchy. Grupy dysydenckie są ograniczane w swoim działaniu. Ograniczenie to samo w sobie zależne jest jednak od szeregu czynników, takich jak: wielkość i zaangażowanie ideologiczne tych grup, integracja grupy monopolizującej władzę, siła i legitymacja istniejących instytucji czy wreszcie koncepcji władzy posiadanej przez autorytarnego wodza. Zamiast ideologii w reżimach totalitarnych panuje raczej - wg słów Linza - pewna mentalność, pewien sposób myślenia i odczuwania bardziej emocjonalny niż racjonalny, co powoduje, że reakcje na konkretne sytuacje bywają trudniejsze do przewidzenia. Autor pisze, że często reżimy autorytarne oparte są na konserwatywnej interpretacji doktryny społecznej Kościoła a także, że pozycja i rola Kościoła w kraju i jego związki z zagranicą przeszkadzają tendencjom do totalitarnej uniformizacji. O ile reżimy totalitarne wymagają aktywnego uczestnictwa mas w polityce a raczej w "obchodach politycznych" - jak np. wybory, które traktowane są w kategoriach święta i są okazją do manifestowania jedności i entuzjazmu, o tyle ustabilizowany reżim autorytarny preferuje raczej apatię poli-

tyczną.

Różnią się także partie dominujące w tych systemach - w autorytaryzmie partia nie musi być dobrze zorganizowana i silnie ideologiczna, często powstaje już po ustanowieniu reżimu i jest fuzją różnych tradycji i grup społecznych. Rzadsze są tu czystki czy surowe kary - np. pokazowe procesy.

Próba charakterystyki reżimu polskiego jest trudna i, co od razu trzeba zaznaczyć, nie jest naszym zamierzeniem podanie jej w sposób wyczerpujący. Stosunki między władzą a społeczeństwem w reżimie komunistycznym, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii polskiej, opisane są znakomicie w książce Marka Sobolewskiego "O granicach reformowalności systemu komunistycznego". W naszej pracy poruszymy jedynie pewne cechy, ze ścisłym odniesieniem do wyżej przytoczonej charakterystyki autorytaryzmu Linza, by nakreślić pewien schematyczny obraz reżimu. Pozwoli nam to później przejść do naszego głównego zamiaru - scharakteryzowania opozycji w Polsce.

Część z przytoczonych przez Linza cech systemu autorytarnego pasuje do naszego kraju, część nie może być do Polski odniesiona. Próbuując ustosunkować się do tych cech, które Linz podał kontrastowo porównując autorytaryzm z totalitaryzmem, możemy w sposób pośredni nakreślić cechy reżimu komunistycznego w wydaniu polskim.

Uniformizacja, często podawana jako jedna z cech totalitaryzmu, nie jest w Polsce realizowana. Bardzo silny jest bowiem Kościół katolicki, jego szerokie wpływy społeczne możemy przyjąć za dane bez dalszych dowodów. W organizacji życia społecznego, z wyłączeniem Kościoła, zauważyć można okresowe tendencje do uniformizacji i powoływania jednolitych struktur, mających odpowiadać poszczególnym sektorom społeczeństwa. Stwierdzenie "tendencje okresowe" odnosi się do kolejnych faz rozwoju przede wszystkim ruchu młodzieżowego a nawet, biorąc pod uwagę lata 80-te, zawodowego. Pomińmy tu opis szczegółowy, przyjmując, że czytelnik orientuje się w sytuacji polskiej i zna owe etapy, a także konkretne organizacje.

Mobilizacja społeczeństwa do powszechnego uczestnictwa w życiu politycznym ma także w naszym kraju swoją historię "wzlotów i upadków" a więc mniej lub bardziej efektywnych wysiłków władzy zmierzających do aktywizacji. Określając problem ramowo można wyróżnić lata stabilizowania się reżimu - 40-te i wczesne 50-te - charakteryzujące się masową mobilizacją i następne lata, kiedy reżim już ustabilizowany kładł mniejszy, zwiększający się w momentach kryzysów, nacisk na mobilizację i aktywną partycypację. W przypadku polskim obraz komplikuje się przez wpływy zewnętrzne - a więc lata bezpośredniego wpływu na życie kraju wywieranego przez obce mocarstwa, czyli lata stalinowskie, a także stałą groźbę ingerencji z zewnątrz. Rola tej groźby objawiać się może m.in. tym, że - jak pisze Linz - ponieważ nie ma nadziei na zmianę, zwiększona liberalizacja reżimu może spowodować dobrowolną partycypację tych sektorów społeczeństwa, które w innym przypadku pozostałyby obojętne.

Osobnym zagadnieniem są wybory do Sejmu czy Rad Narodowych, które przeprowadzane są zawsze w sposób bardziej odpowiadający systemowi totalitarnemu.

Omówić należy także rolę i pozycję partii. W Polsce partia komunistyczna funkcjonuje w zasadzie jako jedyna partia systemu, mimo działalności dwóch innych partii tzw. sojuszniczych. Analizując partie w systemach faszystowskich i komunistycznych Maurice Duverger w swojej pracy "Political Parties" uczynił rozróżnienie między tymi dwoma typami. PZPR mieści się tu w typie partii komunistycznych bo jest scentralizowana, zhierarchizowana, zideologizowana. Jednak trudno już pogodzić się z dalszymi cechami wyliczonymi przez Duvergera a mianowicie, że jej zadaniem, jak każdej innej partii komunistycznej, jest przezwyciężenie pasywności mas i pełnienie roli narzędzia permanent-

nej rewolucji. W swojej pozycji w odniesieniu do struktur państwowych PZPR odpowiada bardziej modelowi hiszpańskiemu, gdzie partia była rodzajem aktywnego pośrednika między państwem a społeczeństwem, oddziaływując jednocześnie na obie strony. Podobnie jak w przypadku Hiszpanii, rola PZPR określana jest przez prawo państwowe, jej tzw. "przewodnia rola" zagwarantowana jest w konstytucji. Porzucając porównania i starając się samodzielnie scharakteryzować, znowu w paru słowach, pozycję PZPR, można zaryzykować twierdzenie, że przeciwdziała ona naturalnym dążeniom społecznym do szukania kanałów ekspresji i partycypacji - jest raczej sztywnym gorsetem narzuconym uczestnictwu politycznemu obywateli i ich tendencjom do organizacji interesów, nie jest instrumentem zmian, zmiany są na niej wymuszane. Nie spełnia ona także funkcji mobilizacyjnej - naszym zdaniem jest to fasadowy ale konieczny byt ceremonialny. Faktem jest, że trzeba być partyjnym, by zrobić karierę w administracji lub biurokracji. Nie znaczy to jednak, że kariera partyjna musi być pierwsza i warunkuje tę drugą. Przykład Jaruzelskiego świadczy o czymś przeciwnym - dochodząc do władzy innymi drogami legitymuje się ją następnie przejęciem przywództwa partyjnego.

Z problemem roli i organizacji partii politycznej wiąże się także funkcja ideologii. Ideologia odgrywa wg badaczy reżimów totalitarnych istotną rolę, ponieważ spełnia funkcje mobilizacyjne wobec społeczeństwa i określa cel działania samej władzy. Wg Linza w systemie autorytarnym miejsce ideologii zajmuje raczej pewna mentalność a jej rola jest ograniczona. By określić miejsce ideologii w Polsce można raz jeszcze posłużyć się książką Marka Sobolewskiego. Nie cytując rozległego rozdziału, ograniczymy się tu tylko do przytoczenia stwierdzenia, naszym zdaniem trafnego, że rola ideologii w systemie komunistycznym uległa znacznym transformacjom. Z jednej bowiem strony władza manipuluje nią dość dowolnie, w celach czysto praktycznych, z drugiej pewne przynajmniej jej założenia zostały przyjęte przez społeczeństwo i używane są jako standardy dla negatywnej oceny istniejącej rzeczywistości.

Na wstępie wspomnieliśmy o typologii proponowanej przez R. Dahla, który pisząc o krajach socjalistycznych skłonny był traktować je jako hegemonie. Opisując ten typ Dahl mówi, że reżimy te nakładają najsurowsze ograniczenia na swobodę wypowiedzi, organizacji lub reprezentacji politycznej, nie wolno jednostkom wypowiadać się przeciw władzy czy ideologii, jakakolwiek opozycja jest zabroniona. Opozycja w tych reżimach - dalej wg Dahla - jest nieakceptowana pod żadnym względem i w żadnym wymiarze. Nie można rozróżniać między opozycją nielojalną i lojalną, ponieważ, wobec wrogiego nastawienia władzy do każdej opozycji, nawet opozycja początkowo lojalna na skutek prześladowań musiałaby się stać nielojalna.

Poliarchię Dahl opisuje jako reżim nakładający najmniejsze ograniczenia na swobodę wypowiedzi i aktywność polityczną obywateli. Prawa jednostki do wyrażania swoich poglądów opozycyjnych są chronione, wybory przeprowadzane są uczciwie a ich wyniki respektowane zgodnie z obowiązującymi regułami.

Reżimy mieszane w różnym stopniu prezentują cechy obu wyżej opisanych typów i zależnie od przewagi cech jednego bądź drugiego zbliżają się do ideału hegemonii lub poliarchii. Postarajmy się w tej ramowo nakreślonej typologii znaleźć miejsce dla naszego kraju. Rozważając przypadek Polski można dojść do następującego wniosku: a mianowicie, że w Polsce istnieją trzy poziomy oficjalności, tj. jeden czysto wewnętrzny, na użytek stosunków władza społeczeństwo, drugi to poziom, na którym nasz kraj występuje na forum bloku i trzeci to ten, na którym pojawia się na szerszej arenie międzynarodowej. Opierając się m.in. na analizie Marka Sobolewskiego możemy powiedzieć, że na poziomie wewnętrznym władza wchodzi w "układy" ze społeczeństwem, antycypuje czasem jego nastroje opozycyjne podejmując decyzje mogące zago-

dzić niezadowolenie. Opozycja i jej działalność jest dostrzegana, argumenty, które przytacza się przeciwko niej nie zawsze są tylko negacją lub zaprzeczeniem zarzutów wysuwanych przez opozycję. Zwłaszcza w ostatnich latach powoływanie się na tzw. "polską rację stanu" było próbą osłabienia nastrojów opozycyjnych poprzez apelowanie do uczuć narodowych, bliskich Polakom bez względu na różnice poglądów politycznych. Obraz ten jednak nie ze wszystkimi szczegółami nadaje się do pokazania na zewnątrz. Stąd też przed ważniejszymi wizytami u lub od przyjaciół z bloku, podobnie zresztą przy innych wystąpieniach zagranicznych, więcej jest w środkach masowego przekazu informacji i zapewnień o jedności, milkną dyskusje o złe funkcjonujące gospodarce czy oświacie, opozycja kurczy się w oficjalnym postrzeganiu do nieznacznej garstki nieodpowiedzialnych szaleńców, którzy i tak, nie mając już żadnego poparcia, wkrótce sami znikną.

Reasumując powyższe dochodzimy do stwierdzenia, że reżim Polski jest reżimem mieszanym, zbliżającym się do hegemonii z elementami autorytarnymi*).

Uznając go za taki spróbujemy dokonać opisu opozycji polskiej posługując się typologią Linza, którą zastosował do opisu opozycji w państwie autorytarnym. Bez założenia o mieszanym charakterze polskiego reżimu posłużenie się tą typologią byłoby najzupełniej nieprzystadłe.

Ze względu na miejsce opozycji w systemie politycznym, Lenz podzielił ją na trzy typy: wewnętrzną, poza i przeciw reżimową. W ramach tego podziału na krytyków wewnątrz i poza reżimem Lenz dokonał jeszcze jednego podziału na opozycję semilegalną, alegalną i nielegalną. Semilegalna opozycja składa się z grup, które "nie będąc reprezentowane w grupie rządzącej, chcą uczestniczyć w sprawowaniu władzy bez naruszania podstawowych założeń reżimu". Nie bez przyczyny Lenz mówi o grupach, a nie o konkretnych organizacjach politycznych czy partiach. Ludzie mieszczący się w tej grupie opozycyjnej bywają, wg Linza, skupieni w różnych organizacjach niekoniecznie związanych z polityką, jak np. redakcjach periodyków, stowarzyszeniach wyznaniowych, ośrodkach naukowych. Jak wspomniano na początku, semiopozycja nie opiera się na zasadniczych zmianach reżimu, jest natomiast przeciw pewnym aspektom oficjalnej polityki, życzy sobie zmian konkretnych ale nie rozległych. Z tego też względu, jak pisze autor, nie stanowi ona żadnej alternatywy politycznej i nie jest dostrzegana jako taka. Charakteryzując ten typ opozycji Lenz robi zastrzeżenie, że trzeba odróżnić ją od frakcji i klik w reżimach totalitarnych, ponieważ w totalitaryzmie nacisk na jakość, uniformizację i ideologię czyni niemożliwym otwarte działanie tych grup. W autorytaryzmie zaś mniejsza ideologizacja i przewaga raczej pewnej mentalności sprawia, że działalność krytyków semiopozycyjnych jest łatwiejsza.

W świetle naszych poprzednich rozważań o reżimie polskim przyjmujemy, że semiopozycja do reżimu polskiego jest również możliwa.

Zakres opozycji alegalnej zależy w pewnym stopniu od reżimowej definicji opozycji nielegalnej a także od tolerancyjności reżimu. Opozycję alegalną stanowią ludzie, którzy nie mają ambicji uczestniczenia we władzy jak to jest w przypadku opozycji semilegalnej - często, jak pisze Lenz, są to ludzie, którzy nie znając możliwości jakiegokolwiek partycypacji politycznej wyrażają rodzaj opozycyjnego nastroju czy moralnego oburzenia. Alegalna opozycja stawia sobie za cel także pewne zmiany panującego reżimu, zazwyczaj głębsze niż semiopozycja, dotyczące podstawowych problemów społecznych czy ekonomicznych. Łatwo więc z szeregu opozycji alegalnej przejść do nielegalnej, starając się zrealizować swoje zamierzenia środkami nielegalnymi, lub też do semilegalnej, zawężając cele a zyskując udział i być może złudze-

*) W odczuciu większości zespołu redakcyjnego polski reżim jest zdegenerowaną formą totalitaryzmu komunistycznego postalinowskiego.

nie wpływu na decyzje polityczne.

Linz pisze, że alegalną opozycję stanowi często "trzecia generacja" ludzi, którzy wyrosli w tym reżimie w momencie, kiedy stracił on swój pierwszy impet ideologiczny i symboliczny, kiedy uległ pewnemu skostnieniu. Ludzie ci szukają kanałów ekspresji i partycypacji a nie znając, powiększają szeregi "niechętnych". Tak opisana grupa opozycyjna przywodzi na myśl "stracone pokolenie", kolejne generacje rozczarowanych co do czekających ich możliwości i perspektyw. Kanałami ekspresji tej opozycji bywają gazety czy periodyki, jednak, co jeszcze raz jest podkreślone, podobnie jak w odniesieniu do opozycji semilegalnej, opozycjoniści nielegalni nie przemawiają w imieniu zorganizowanych grup czy partii. Ważnym wydaje się podkreślenie, że ta "opozycyjna opinia", która kwestionuje legitymację reżimu, nie prowadzi jednak do powstania żadnej politycznej alternatywy.

Opozycja nielegalna w przypadku Hiszpanii miała swoje źródło w zorganizowanej walce przeciw siłom frankistowskim w czasie wojny domowej. W okresie ustabilizowanego panowania reżimu została ona odbudowana przede wszystkim na bazie organizacji robotniczych funkcjonujących przed wojną domową. Zmieniające się warunki, powstanie nowej klasy robotniczej na skutek industrializacji i migracji ze wsi do miast spowodowały m.in. powstanie nowych organizacji robotniczych opozycji nielegalnej, tzw. komisji robotniczych. Warto zwrócić uwagę, że opozycja nielegalna ma, w przypadku Hiszpanii oczywiście, swoją bazę wśród klasy robotniczej, a także częściowo wśród studentów. Tu warto zwrócić uwagę na fakt, że w odróżnieniu do dwóch poprzednio omówionych typów opozycji, opozycja nielegalna jest zorganizowana, chociaż, na co zwrócił uwagę Linz, ponieważ bazą jej była przede wszystkim klasa robotnicza mogło to czynić wrażenie, że opozycja ta wyraża jedynie tzw. "konflikt przemysłowy" a nie ma cech opozycji politycznej.

FLORENTYNA ŁĘCZYCKA

Reżim w Polsce chciałby być autorytarny, a nie jest. Autorytaryzm, jako system statyczny, pozbawiony kłopotliwego po wielokroć dla władzy balastu ideologicznego, nie nakładający na partię obowiązku permanentnego rewolucjonizowania mas a proponujący w zamian, jakże korzystną dla władców, apatię polityczną, opartą na zaufaniu dla grupy przywódczej i przekonaniu o jej legitymacji, pozbawiłby zapewne reżim wielu problemów, jakże dotkliwych dla niej obecnie. Ponieważ władza w PRL zdaje sobie sprawę, że nie stać jej także na sprawowanie rządów totalitarnych, a przyczyny po temu są dwie: Kościół i własna indolencja - w autorytaryzmie upatrywałyby spokojnej przystani. Dlatego w wiodącym tygodniku partyjnym "Polityka" ukazuje się tuż przed wyborami artykuł duo Rykowski-Władysław pt. "Szczyty", prezentujący władców jako spolegliwych konserwatystów, hobby: rodzina; dlatego w tymże organie oficjalna egzegeza poglądów Jaruzelskiego nosi tytuł "Wybić się na normalność". Dlatego też spotykamy się stale z próbami umknienia od argumentów ideologicznych na rzecz eksponowania jedności narodowej i państwowej, a od pięciu lat publikatory, tyleż uparcie co nieudolnie, próbują budzić zaufanie do przywódców z Jaruzelskim na czele, eksponując nie co, lecz kto głosi: normalizację, stabilizację i komu trzeba wierzyć - tworzą fikcję autorytetu.

Stosunek reżimu do aktywizacji mas, także tzw. mas partyjnych, jest wysoce ambiwalentny. Z jednej strony czują się zobligowane do wykonywania widowisk propagandowych typu wybory /ale; czy odwoływał się przy ich okazji ktoś do ideologii?/, ale nie ma to nic wspólnego z rzeczywistym animowaniem społecznej aktywności. Ta w istocie nie jest premiowana ani w partii /vide: słynne struktury poziome/, ani we wła-

dzech lokalnych, samorządach itp.

Ostatnia zmiana pozycji Jaruzelskiego - z premiera na przewodniczącego Rady Państwa, przy zachowaniu szefostwa w partii - pozwolić ma zapewne na budowanie autorytetu wodza, pozwoli mu, przy należytych protokole, odpowiadać obce państwa /marzenie: Watykan/, zwalniając go jednocześnie od bieżącej odpowiedzialności za stan ekonomiczny państwa i łącząc jego pozycję z samym państwem. Wyraźnie dowodzi to dążeń do autorytaryzmu w kręgach reżimowych, do zastąpienia ideologii posłuszną mentalnością podporządkowanego społeczeństwa. Ideologia bowiem, jako podstawa rządzenia w Polsce jest niewygodna, a bywa też i niebezpieczna. Niewygodna jest wówczas, gdy, trzymając się jej wiernie, należałoby całkowicie znieść wolny rynek i prywatną własność środków produkcji, czyli ukatrupić ostatecznie gospodarkę, konsekwentnie prowadzić do przewidzianego w tej ideologii zaniku państwa, czyli do samobójstwa reżimu, a także postawić na konieczne i rychłe przeniesienie rewolucji na cały świat, w czego możliwość nie wierzą nawet najbardziej twardogłowi członkowie politbiura. Niebezpieczna zaś bywa wtedy, gdy ktoś postanowi potraktować serio pryncypia ideologiczne i dochodzić sprawiedliwości społecznej, równości, oraz przypominąć, do kogo właściwie winna należeć suwerenność, będąca źródłem władzy. Czy więc władza w PRL jest przeciw podstawom "realnego socjalizmu" zawartym w idealistycznym materializmie Marksa sprzed ponad stu lat? Wychodzi na to, że jak najbardziej tak. Nie one konstytuują jednak system. Jego realność polega na monopolach, jak to się powszechnie przyjmuje, w dziedzinach władzy, informacji, środków trwałych i rynku pracy. Ale: do władzy, do pracy dokooptowuje się raczej kolegów od kielicha, niż ludzi, których nazwiska wyciągnąć można z czarnej skrzynki nomenklatury, natomiast o środkach trwałych decydują: 1. ciemne siły przyrody w postaci klęsk żywiołowych wszelkiej maści, które paraliżują transport, zalewają wodą całe województwa itp., 2. wezwanie do nagłej pomocy dla bratniego kraju, gdzie jest już tak źle, że "może się coś ruszyć", 3. działalność przeróżnych grup zawodowych, które po prostu źle pracują, czując, że w ogólnym beżołowiu nikt nie zauważy ich strajku trwającego od czterdziestu lat - problem tzw. "kooperantów, którzy nie dopisali". Monopol informacji z kolei ewidentnie istnieje i to nie dlatego, że załamała go swego czasu "Solidarność" a do dziś podkopują samizdaty. Po prostu u nas monopolu informacji być nie może, bo w ogóle nie ma informacji - są przemówienia agitacyjne i propagandowe, zakodowane sygnały itp. - zainteresowanych prosimy do lektury Orwella i Marcusego. To nie jest informacja i być jej nie może, chociażby z braku pieniędzy /od wejść do komputerów, do prenumeraty "Newsweeka" dla instytutu naukowego czy redakcji/, ale także dlatego, że nie jest potrzebna. Władza bowiem nie tyle przekłamuje informacje aby wprowadzić ludzi w błąd /sama także jest wybitnie nieodinformowana/, lecz wysyła sygnały na temat: "ile można", "na co "oni pozwalają", czy "jaki jest trend".

W związku z powyższymi rozważaniami można określić nasz system mianem nieudolnego totalitaryzmu o ambicjach autorytarnych. System, ziste, mieszany. Jego specjalnością jest to, że opozycja jest jego cechą immanentną. System sam generuje swoją opozycję. S robujemy to wyjaśnić. Na wstępie należy odpowiedzieć na pytanie, przeciw czemu występuje opozycja w Polsce. Otóż, naszym zdaniem, nie przeciw reżimowi. Nie ma i nie było bowiem u nas od 1948 roku opozycji występującej pod hasłem: dajcie nam władzę - zrobimy to lepiej. Wiadomo, że jest to, nawet przy założeniu, że zmiana u władzy metodami parlamentarnymi byłaby dopuszczalna, niemożliwe. Doświadczenie dowodzi, że żadna władza nic zrobić nie może, jak tylko przy pomocy prawa, lub przemocy, które u nas nie funkcjonują w wystarczającym dla animowania stosunków społecznych zakresie, co wydaje się specyfiką tego mieszanego ustroju.

Występuje więc przeciw systemowi wszyscy, ale utożsamiając go z

różnymi, stereotypowo ujętymi, jego cechami dominującymi: bo niewydolny ekonomicznie, bo antykatolicki, bo obcy kulturowo czy narodowo ze względu na swe źródła i inspiracje, bo zamknięty na świat, bo zbyt mało pryncypialny ideologicznie itp. Można to sprowadzić do jednego, generalnego zarzutu - jest to system nieracjonalny, nielogiczny /co zresztą już falsyfikuje go jako system/. Nie można nim kierować, bo ściera się w nim walka pomiędzy konserwatyzmem a rewolucyjnością, autorytaryzmem a totalitaryzmem, żadna władza tak postawionym postulatom nie wydoła. Nie można go popierać, bo nie wie się, co się popiera; pryncypia systemu zmieniają się na zasadzie czystej przypadkowości, czyichś nieudolnych pociągnięć propagandowych, opinii przypadkowych ekspertów, fragmentarycznych zapożyczeń - oczywiście nie są to, de facto, zmiany systemowe, jako takie się je jednak prezentuje i uzasadnia.

Ostatni prawdziwy wyznawca systemu, Józef Wissarionowicz, umarł 32 lata temu, ostatni totalny opozycjonista, wujek koleżanki, którego ulubioną przysłówką było: "Jedna bomba atomowa a wrócimy znów do Lwowa", również odszedł jeszcze przed Październikiem. Teraz trwa chocholi taniec: "pany, chłopcy, chłopcy, pany, cały świat zaczarowany"...

Przy powyższych założeniach próba systematyzacji polskiej opozycji zmienia się automatycznie w systematyzację całego społeczeństwa pod kątem jego opozycyjnego zaangażowania. Całego społeczeństwa - a więc i tych, którzy są u władzy? Byłoby to ze wszech miar logiczne.

Przypominacie sobie Państwo te rozkoszne wspomnienia i wywiady z weteranami komunistycznej władzy pełne opowieści, jak to oni byli przeciw - głównie przeciw tym, którzy umarli nie pozostawiając wspomnień. To podobno na nich opierał się system. Istnieje popularne powiedzenie, nieoryginalne zresztą, że "najwięksu opozycjoniści siedzą u nas w rządzie". Każdy zresztą przedstawiciel władzy zwykły prywatnie zwierzać się, że wszystko "nie wiadomo jak się trzyma", to znaczy, oczywiście, trzymają "to" "oni". Ale "oni" nie istnieją. "Oni" to "my". "My", czyli "rząd", "opozycja", "emigracja", "partia" etc.etc. Wszyscy, żeby istnieć, potrzebują systemu, to go sobie wymyślili. A system, jak biurokracja wg. Parkinsona, żywi się sam sobą, rozrasta się i zaczyna wymykać spod wszelkiej kontroli.

Wracając do typologii Linza i jej zastosowania na gruncie polskim: opozycja semilegalna w tym systemie to establishment, alegalna - milcząca większość, nielegalna - "zawodowi" opozycjoniści /także margines - establishment opozycyjny/, ci spośród opozycjonistów alegalnych, rządziej semilegalnych, których sumieniu przestał odpowiadać zakłamany opozycjonizm władzy, lub ci, którzy nie "załapali się" do miejsc rządowych a chcą być w pierwszym szeregu, niezależnie od tego, z której strony; ci także, którym opozycja nielegalna konweniuje towarzysko, prestiżowo. Najwięcej jest chyba jednak tych, którzy serio uwierzyli, jak np. Bratkowski, w szanse opozycji semilegalnej w naszych warunkach, lecz im dotkliwie wyjaśniono pomyłkę. Ci w "nielegalnej" też nie czują się dobrze - cierpią często na brak poczucia konwencji.

Stwierdzenie Linza na temat opozycji semilegalnej, że należą do niej różne grupy "nie będąc reprezentowane w grupie rządzącej", z pozoru tylko wykluczałoby z udziału w niej establishment. Założenia nasze bowiem są takie, że rząd u nas nie czuje się nim w pełni, chciałby się w prawdziwą władzę przekształcić ponad założeniami systemu, który go krępuje. Ponad, a nie wbrew, system bowiem w tych kręgach /i nie tylko w tych, także u licznych grup opozycji alegalnej z kręgów "Solidarności"/ stanowi sacrificium intellectus - system wyłączny myślenie, "dyskutujemy bez naruszania pryncypiów systemu"; dopiero awangarda opozycji nielegalnej wyzwoliła się z tego sposobu myślenia. Oczywiście opozycja semilegalna nie ogranicza się do szeregów władzy. Tak jak w Hiszpanii, tworzą ją dziennikarze pism: u nas "Polityki" czy "Zdania" /"Rzeczywistość" to już opozycja zgoła nielegalna, tole-

rowane jakby na dowód, że system jest nielogiczny/, członkowie stowarzyszeń katolicko-patriotyczno-prorządowych, "partii" sojusznicznych /cudzoźwół bierze się stąd, że nie odpowiadają one opisowej definicji partii, której klasycznym autorem jest Duverger/, organizacji młodzieżowych, lewicowi intelektualści na wyższych uczelniach.

Należy zasygnalizować w ramach opozycji semilegalnej istnienie przemysłowych lobby's. BBC podało w dniu wyznaczenia Messnera na stanowisko premiera PRL, że należy on do lobby przemysłu ciężkiego. Czy oznacza to coś konkretnego poza tym, że pewnie znowu zabraknie na polskim rynku gumy do majtek? Zapewne oznacza. Istnieją, krzyżujące się z grupami interesów i klikami, grupy przemysłu, które wywierają nacisk na rząd w ramach opozycji semilegalnej, nie są one jednak do odróżnienia w ramach opozycji antysystemowej - są przeciw systemowi i, nie dążąc do jego obalenia czy zmiany, pragną jedynie przesunięcia pewnych akcentów w polityce budżetowej i inwestycyjnej. Nie mają takiego wpływu, jak na Zachodzie, z powodu ograniczenia środków wywierania nacisku, a to z powodu irracjonalizmu gospodarki. Także intuicyjnie można sformułować tezę, że lobby przemysłowe nie reprezentują interesów wszystkich zatrudnionych w danej gałęzi przemysłu, lecz jedynie klikowy interes górnych warstw menadżerów.

Opozycja alegalna ma, jak powiedziano wyżej, granice płynne - casus "Solidarności" jest tu najlepszym przykładem. Część biernych członków tej opozycji, nie dążących do udziału we władzy, znajduje się raz po raz, w wyniku działań zewnętrznych, wśród szeregów opozycji nielegalnej. Jest to więc grupa najmniej ustabilizowana, największa, która słusznie poczytywana jest za nadającą się do "wygrania". Element organizacji wśród opozycji alegalnej spotykamy najrzadziej - zgodnie z typologią Linza. Wspólny jest jej opozycyjny nastrój, nie tworzący politycznej alternatywy. Jest to w naszych warunkach opozycja najbardziej aintelektualna, nieświadoma. Zaliczyć do niej można wszystkich, którzy deklarują swoje niezadowolone, wiążąc go w sposób świadomy z opcją astysystemową, ludzi, którzy jak w wierszu Tuwima o strasznych mieszczanach - widzą "pojedynczo": "że koń, że Józek, że drzewo, Oe dom" /czytaj: kolejki, niskie zarobki, powszechne chamstwo/ nie nazywając tego po imieniu.

Z kolei wśród zaangażowanych w opozycję nielegalną, w porównaniu z modelem hiszpańskim, uderza w Polsce brak ciągłości. Wygląda to w ten sposób, że po każdym kolejnym kryzysie system generuje sobie nową opozycję nielegalną. Socjaliści i ludowcy reprezentowani w naszym systemie przed 48 rokiem nie pozostawili po sobie następców. Kto inny występował w roku 1956, 68, 70, 80 - jednostkowe przypadki nic tu nie zmieniają /choć integrująca opozycję i uświadamiająca praca KOR-u stanowi niewątpliwie największe osiągnięcie polskiej opozycji nielegalnej/. Nie chodzi tu tylko o następstwa pokoleniowe, lecz o brak oparcia w bazie społecznej, czego, pozwalamy sobie sądzić, nie zmieniły niestety całkowicie lata 80-81. Jest to zrozumiałe i znajduje poparcie już u dziewiętnastowiecznych teoretyków rewolucji: klasie robotniczej jako takiej obca jest walka spiskowa, podziemna, utożsamia się niechętnie z opozycją nielegalną, wierząc tylko we własne siły i metody walki sobie właściwe - strajki czy demonstracje i mając do systemu stosunek nie ideologiczny, lecz raczej pragmatyczny. Dowodem na to, że władza bardziej niż ideologii systemu strzeże jego praktyki może być to, że znacznie ostrzej poczyną sobie z krytycznie nastawionymi robotnikami, niż z wrogimi ideologami, okresowo zgadzając się na flirt intelektualny z tymi ostatnimi. Jest wyraźnie zauważalne, że nie jest to tylko wynikiem poczucia większego zę strony robotników zagrożenia, lecz obcości, wrogości, poczucia wyższości w stosunku do "roboli". Nie ma także porozumienia co do mięsa dla robotników, bo mięsa w tym systemie nie było nigdy, można natomiast pogadać o wystawieniu "Króla Ubu", bo liberalizacja bywa w tym systemie - demokracja

nie /teza wspomnianej już pracy prof. Sobolewskiego/.

Jesteśmy dość sceptyczni co do szans przekształcenia ruchu opozycyjnego w tzw. "społeczeństwo alternatywne", jeżeli chodzi o udział i poparcie robotników dla tego typu prób. Wynika to zapewne z mniejszej u robotników zdolności życia w płynnych granicach między funkcjonowaniem człowieka w układzie oficjalnym i alternatywnym, granicach będących źródłem silnych frustracji, a także z faktu, że praca robotników, dająca się na bieżąco kontrolować, służy "pierwszemu obiegowi" z racji monopolu środków produkcji. Łatwo jest napisać dla "drugiego obiegu" książkę, trudniej zrobić gwóźdź. A na ile ten monopol jest realizowany nieudolnie, na tyle już od dawna istnieje "drugi obieg" gwóźdź, ale czy globalne społeczeństwo alternatywne jest możliwe - to wysoce wątpliwe. Dopóki na państwowej poczcie będą sprzedawali znaczki na list, to, niezależnie od tego, czy list dochodził będzie po tygodniu od wysłania, po pięciu, czy też nie dojdzie w ogóle - nie mamy żadnej alternatywy.

Poszczególne odłamy opozycji zazwyczaj pozostają w konflikcie. Zarówno w linii politycznej - Moczułski nie lubi Kuronia, a my Dzielskiego, jak i pionowej: Rakowski nienawidzi Wałęsy - konflikt ten rodzi się stąd, że każda z grup opozycyjnych uznaje swoją drogę za optymalną. Oczywiście, szanse porozumienia w układzie poziomym są znacznie większe - to rozległy problem interesów i motywacji. Władza usiłuje pilnować porządku w podziale ról wewnątrz opozycji. To właśnie tłumaczy, dlaczego w Polsce opozycja nie jest, ale bywa - czasami jest ona "nie istniejąca", czasami "tak zwana", raz ogłasza się sojusz z Kościołem, kiedy indziej pomawia się go o próby obalenia ustroju, od czasu do czasu także, przy okazji poważniejszych kryzysów ujawnia się, że przeważająca liczba osób wchodzących w skład władz centralnych to wrogość ustroju - opozycjoniści względem systemu. Zostają zmienieni przez innych, jak się okaże za dziesięć lat, opozycjonistów, co nikogo szczególnie nie dziwi.

Charakterystyczny jest jeden mechanizm, zasygnalizowany wyżej, będący wynikiem generatywnej funkcji systemu w stosunku do opozycji. System ten nie tylko warunkuje pozostawanie społeczeństwa w opozycji, lecz także powoduje pogłębianie się nastrojów opozycyjnych, spycha swoich obywateli na coraz to niższe piętra nielegalności. Opozycja jest w nim konieczna a nie jest uznawana, nie zauważana nawet; skoro więc koniecznie działać musi, choć jej tego nie wolno, zaczyna działać metodami sprzecznymi z prawem. Próba przeczytania klasycznego dzieła literackiego w języku polskim wydanego jedynie w paryskiej "Kulturze" metodą "od rzemyczka do koniczka" doprowadzić może do opowiedzenia się po jakimś czasie całkowicie po stronie opozycji nielegalnej.

Nasuwa się w końcu pytanie. Na czym opiera swoją siłę system, przeciw któremu wszyscy występują? Jednoznaczne rozwiązanie tej kwestii mogłoby trącić megalomanią, gdybyśmy powiedzieli, że na niczym, lub ponurym fatalizmem, gdyby stwierdzić, że na nas wszystkich. Zamiast tego lepiej wybrać odpowiedź po prostu szczerą, że nie wiadomo. Każdą jednak próbę, w rodzaju powyższej, dotarcia do istoty należy chyba podejmować. "Albowiem tok myśli nigdy nie bywa fałszywy. Fałsz tkwi głęboko w konieczności życia, w tajnych trwogach i nieokreślonych abolicjach, w tajnej ufności ożenionej z krytym niedowierzaniem sobie, w umiowaniu nadziei i strachu przed niewiadomym jutrem" - pisał Conrad. W tym wszystkim tkwi głęboko nasza władza i nasza opozycja.

BARBARA BARYŁA

NARÓD

naród jest odpowiedzialny
odpowiada tylko przed sobą
/w dłuższej perspektywie może także odpowiadać przed historią
wierząca część narodu odpowiada jeszcze przed Bogiem/

naród jest odpowiedzialny
dlatego czasami nie odpowiada za siebie
i na ulicach wznosi barykady

w takich chwilach
naród jest sobą historią i Bogiem

AKACJA

przed domem mego dzieciństwa
rosło stare wysokie drzewo
późno pękały jego paki
jeszcze później jaśniało pachnąco
drobnymi białymi kwiatami

dziś
długo przypominam sobie nazwę tego drzewa
wiem że z jego listków
podobnych do opuszczonych palców
wróżą sobie zakochani:
kocha - nie kocha
nie kocha - kocha
kocha - lubi - szanuje ...
z lekcji zoologii pamiętam
że jego młode pędy
są przysmakiem egzotycznych żyraf

ale nazwa... nazwa...
imię tego drzewa
tylekroć wymieniane...
okrutna niepamięć
zagarniająca w mrok
coraz więcej obrazów i faktów dzieciństwa
bolesna niepamięć
miejskiego zwierzęcia
do dźwięcznych imion natury
do akacji



naród się wam znarowił
panowie /magnaci

naród - nieobliczalny koń trojański
przez niewiadomych lecz śmiertelnych wrogów
podstępnie oddany waszej ludzkiej władzy

WOJNA 43-LETNIA

od 43 lat
mamy tutaj wojnę

sklerotyczna Europa
spozstrzegła to dopiero niedawno
i wreszcie nieznacznie otworzyła usta
/ze zdziwienia chyba/

nas już dziwią tylko
wiosny i jesienie
zimy po nich lata
ptak obłok i gwiazda...

03.1982

JĘZYK KTÓRY CIĘ SZUKA

gdy machasz łopatą
w jakim mówisz języku

gdy w przerwie czytasz gazetę
co do ciebie przemawia

gdy pijesz po pracy
czy tylko wódka przekleństwa miota

gdy wracasz do domu
czy rozumiesz niedobre słowa żony

gdy śpisz zmęczony
czy w lepszej się rodzisz mowie

gdy rano budzi cię łopata
czy masz coś do powiedzenia

KRZYSZTOF SENAJKO

To tak strasznie boli ...

Claude'owi Lanzmannowi

"... To boli,
To tak strasznie boli...
gdy nie ten obcy - wróg,
lecz ten co w niewoli
tak samo jak my,
młody chłopiec polski i polska dziewczyna
z męki naszej drwi..."
/Mordechaj Gertig)/

Film Claude'a Lanzmanna "Shoah" na pewno jest filmem dyskusyjnym. Pełna oburzenia reakcja rządu PRL-u może jednak zaskakiwać. Nie bardzo im do twarzy w tym nowym, modnym stroju obrońców Żydów. Pamiętamy przecież rok 1968, kiedy to właśnie komuniści /m.in. "obronca" Kąkol/ rozpętali antysemicką kampanię, której konsekwencją była utrata przez polską naukę i kulturę wielu wartościowych twórców pochodzenia żydowskiego. Pamiętamy jak w czasie 468 dni wolności lat 1980-1981 prowadzono ataki o charakterze rasistowskim. Kiedy we wrześniu 1980 r. organizowaliśmy na ulicy Siennej punkt informacyjny "Solidarności", jakaś ubecka ręka napisała na plakacie nowego związku: "Żydo-synny do Palestyny". Później przyszła kolej na Zjednoczenie "Patriotyczne" - Grunwald popierane przez władzę...

Jeżeli film Lanzmanna wielu widzów może uznać za tendencyjny, to większość głosów w oficjalnej dyskusji, którą sprowokował, wykazuje tendencyjność w zupełnie przeciwną stronę. Stwarza iluzję szlachetności postawy Polaków w stosunku do narodu żydowskiego w okresie okupacji hitlerowskiej. Ten chwyt propagandowy jest o tyle niebezpieczny, że fałszuje obraz wojennej rzeczywistości w świadomości przeciętnego Polaka, zwłaszcza człowieka młodego i otwiera drogę do bezkarnego uprzedzenia kruczaty kłamstwa w innych dziedzinach.

Winę za niedostateczny stan wiedzy o stosunkach Polacy - Żydzi w czasie okupacji ponoszą nie tylko komuniści. W ostatnich latach ukazało się dość dużo publikacji omawiających martyrologię narodu żydowskiego i udział społeczeństwa polskiego w ich obronie. Niemal wszyscy autorzy tych prac pominęli drugą stronę zagadnienia: wcale nie jednostkowych przypadków prześladowania Żydów przez Polaków. Stworzyli tym samym obraz rzeczywistości niepełnej i w pewien sposób zafałszowanej. Łukę tę uzupełnił Lanzmann i nie należy mieć do niego pretensji. Tworzył dokument o zagładzie a nie o obronie tego narodu. Przedstawił bez komentarza obraz sojuszników hitlerowców w walce z Żydami - sojuszników wprawdzie nieświadomych, ale także znaczących. O tym zapominać nie wolno. Jeśli chcemy budować nową, wolną Polskę, musimy być świadomi negatywnych zjawisk, które występują w naszym społeczeństwie. Konsekwencją wzięci nazywającej się polskością jest współuczestniczenie w odpowiedzialności za to, co w naszym narodzie jest marne. A takim zjawiskiem jest antysemityzm, który, mówiąc słowami Zofii

*) Mordechaj Gebirtig /Markus Bertig/, żydowski poeta ludowy i pieśniarz, ur. w Krakowie w 1877 r., zamordowany w "krwawy czwartek" 4 czerwca 1942 r. w Krakowie.

Nałkowskiej, nie jest wynikiem tajemniczych objawów zła wrodzonego, tkwiącego gdzieś w podświadomości jednostki, lecz konsekwencją różnych czynników zewnętrznych utylizowanych przez celowo zamaskowane tzw. "racje stanu".

Według Jerzego Andrzejewskiego : "... Zagadnienie polskiego antysemityzmu przerasta swoją rozległością i doniosłością problem stosunków Polaków do Żydów. Jest jednym z aspektów stosunku człowieka do człowieka, stosunków do ludzkich wartości, do pojęć tak samo poniewieranych a przecież dzisiaj, mimo tylu jeszcze zadrążeń i nieporozumień znowu zakwitających nowymi wartościami, jak sprawiedliwość, wolność, szacunek..."*)

Nie zamierzam pisać tekstu antypolskiego, czy też negować heroizmu tych Ludzi Prawdziwych, którzy w imię ratowania innego człowieka - Żyda poświęcili własne życie. Chcę natomiast, by obok tych powszechnie znanych faktów Czytelnik poznał i ciemne strony zachowań niektórych jednostek społeczeństwa polskiego, zachowań, za które wstydzę się jako Polak i za które czuję się moralnie odpowiedzialny. Mam też nadzieję, że Czytelnik wybaczy mi, iż pisząc o czynach zbrodniczych pomnę zasługi narodu polskiego w ratowaniu społeczności żydowskiej. Nie piszę monografii, pozostawiam to innym. Jedynym moim pragnieniem jest uzupełnienie choćby części tej luki, o której wstydzi się pisać inni.

Wystąpienie antyżydowskich w okresie okupacji i tuż po jej zakończeniu nie sposób zrozumieć i ocenić bez dotarcia do źródeł antysemityzmu. Współcześnie zjawisko to w naszym kraju wystąpiło dość wcześnie i związane jest nieodłącznie z linią polityczną Narodowej Demokracji. Sam twórca obozu narodowego, Roman Dmowski, był nie tylko wrogiem Niemców, ale przede wszystkim Żydów. Już w V klasie gimnazjum jako 17-letni uczeń założył tajne koło dokształcania młodzieży "Strażnica", którego celem było zdobywanie wiedzy w zakresie języka polskiego, historii Polski, literatury i geografii ojczystej. Deklarując "apolityczność" tego koła usunął bezpardonowo jego członków-Żydów, wykazując przy tym niespotykaną zaciętość i wrogość wobec uczniów będących pochodzenia niepolskiego**). W późniejszym okresie, rozwijając swoją działalność polityczną i analizując historię upadku Rzeczypospolitej doszedł do wniosku, że bierność szlachty spowodowana była brakiem walk wewnętrznych, co było - według niego - następstwem istnienia czynnika ekonomicznego - Żydów, którzy nie pozwolili na powstanie w Polsce stanu trzeciego. W dziele, które stało się z czasem dokumentem programowym obozu narodowego, "Myślach nowoczesnego Polaka", Dmowski tak pisał na ten temat***):

"... W tem istnieniu licznej ludności żydowskiej, nie poczuwającej się do żadnej wspólności z narodem, stąd pozbawionych wszelkich aspiracji politycznych a dążącej jedynie do materialnego wyzyskania kraju i jego ludności, leżało najważniejsze w końcu źródło oryginalności stosunków Polski historycznej. Dzięki Żydom Polska została narodem szlacheckim do połowy XIX stulecia a nawet dłużej, bo jest nim dziś jeszcze w pewnej mierze, gdyby nie oni, pełniące opanowane

*) Andrzejewski J., Zagadnienie polskiego antysemityzmu. Odrodzenie, nr 28, 1946.

**) Dmowski Roman /1864-1939/, Życiorys-wspomnienia - Zbiór fotografii. Poznań 1939, s.4.

***) Dmowski R., Myśli nowoczesnego Polaka, Lwów 1908, wyd.III, rozdz. II. s.45-46. Dmowski pisał "Żydzi" z małej litery. W cytowanym fragmencie, podobnie jak w następnych, rezygnuję z jego oryginalnej pisowni, jako nie odpowiadającej zasadom praw Człowieka.

przez nich funkcje społeczne część ludności polskiej byłaby się zorganizowała, jako współzawodnicząca ze szlachtą siłą polityczną, stan trzeci, który tak doniosłą rolę w rozwoju społeczeństw europejskich odegrał i stał się głównym czynnikiem nowoczesnego życia społecznego. Gdyby nie oni, wystąpienie na widownię mieszczaństwa w dobie Sejmu Czteroletniego byłoby zjawiskiem bez porównania potężniejszym, o ile by nie nastąpiło znacznie wcześniej...".

Zbyt często jesteśmy skłonni składać winę za własną nieudolność, prywatę i błędy na ludzi, którzy stają się w ten sposób "kozłami ofiarnymi". Żydzi od samego początku współczesnej historii Polski takimi ofiarami byli. Oberczano ich odpowiedzialnością za to, co w naszym narodowym charakterze jest złe i za co odpowiedzialni jesteśmy sami. "Wina" Żydów to nic innego, jak próba uspokojenia własnego sumienia.

Osobiste poglądy Romana Dmowskiego w krótkim czasie przejęły grupy narodowych demokratów, stanowiące znaczącą siłę na polskiej arenie politycznej okresu bezpośrednio poprzedzającego odzyskanie niepodległości w 1918 roku. W jednym z pism tego obozu*) z 1901 r. czytamy:

"... Żydzi, najlepsi nawet i najlepiej spolszczeni, narodowo ani nie myślą ani nie czują... Dla najlepszych nawet Żydów - nie mówiąc o możliwych wszędzie wyjątkach - narodowa polityka jest obcą, a stąd im obojętną lub, co się częściej zdarza, nienawistną..."

Narodowi demokraci brnęli w swej nienawiści przez cały okres walki o niepodległość. Stan ten ilustruje znakomicie wypowiedź Dmowskiego w książce "Polityka polska i odbudowanie państwa"**) , będącej wykładnią poglądów politycznych obozu narodowego:

"... Jeżeli chodzi o Polskę, to Żydzi, niezależnie od swoich interesów w Niemczech, mieli inny jeszcze bardzo ważny motyw do walki przeciw jej niepodległości.

Rzeczpospolita, przez swoją fatalną politykę w ciągu paru stuleci poprzedzających rozbiory, przez politykę, która doprowadziła do takiego zażydzenia kraju, że posiadał on ich więcej niż cały świat pozostały, zdobyła dla Polski niejako tytuł europejskiej ojczyzny Żydów. Tym samym w oczach Żydów podpisała na siebie wyrok. Patrzyli na nią jak na nową Palestynę i Polakom przeznaczali w niej na przyszłość rolę mniej więcej podobną do tej jaką w czasach biblijnych miała nieizraelska większość ludności Chanaanu, jego odwieczni mieszkańcy. Osiągnięcie tego celu było najłatwiejsze przez doprowadzenie państwa polskiego do upadku i do przejścia ziem polskich pod władzę obcą, która mogła korzystać z pomocy żydowskiej do panowania w Polsce. Dotychczasowa nasza historiografia jeszcze nam nie wyjaśniła roli Żydów w rozkładzie życia politycznego Rzeczypospolitej i w jej rozbiorach. To wszakże co już wiemy wskazuje, że w okresie niewoli siła Żydów w Polsce szybko rosła i zachowanie się ich polityczne były często aż nadto wymowne przeciw dążeniom polskim..."

"Argumentowanie" Dmowskiego nie miało nic wspólnego z dowodami historycznymi. Oparte było jedynie na jego przekonaniu posiadania monopolu na prawdę i stanowiło chęć narzucenia swojej błędnej opinii całej polityce przyszłego rządu Polski. Narodowi demokraci nie musieli przedstawiać dowodów historycznych - ich siłę stanowili bowiem ludzie, których potomków widzieliśmy w filmie Lanzmanna: drobni mieszczanie, chłopci, rzemieślnicy i inteligencja pochodzenia mieszczańskiego. W rejonach Polski, gdzie Żydzi dzięki swojej zapobiegliwości opanowali np. handel, tego typu idee znajdowały wdzięcznych wyznawców.

*) Przegląd Wszechpolski, 1901, I., 39

**) Dmowski R., Polityka polska i odbudowywanie państwa, wyd. II., Warszawa 1926, s.307-308.

Jak były silne, przekonujemy się i dziś, widząc w filmie "Shoah" artykułowanie poglądów nie odbiegających w zasadniczych treściach od tych sprzed 60 czy 70 lat.

Sojusznikiem obozu narodowego w propagowaniu antysemityzmu stały się też niektóre kręgi Kościoła katolickiego, który dzięki religijnemu oddziaływaniu na świadomość Polaków wzbudzał podobne reakcje. Ks. dr Piotr Stach w czasie wykładów w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, w marcu 1925 r., wydanych w formie książkowej z inicjatywy i za aprobatą Lwowskiej Kurii Metropolitalnej mówił^{*)} :

"... Żydzi a zwłaszcza syjoniści są zaciętymi nieprzyjaciółmi Polski. Nawet biskup Łoziński, człowiek bardzo ideowy, który jednak miał sposobność poznać Żydów na Kresach i podczas rewolucji bolszewickiej w Mińsku wyrazić się miał do Żydów mieszkających w Stołpcach, kiedy odwiedził to miasteczko kresowe po napadzie bandy bolszewickiej, w ten sposób: Powtarzam wam raz jeszcze i nie cofam swych słów, że masa żydowska żyjąca w Polsce jest naszym wrogiem. Żadne tłumaczenia i frazesy tu nie pomogą. Niechaj ci, którzy nie czują się tu dobrze pójdą sobie precz!!! ..."

Dalej ks. Stach mówi już od siebie:

"...Zadaniem naszym jako chrześcijan i katolików powinno być odłączenie się od żydostwa pod względem towarzyskim, kulturalnym a zwłaszcza na polu gospodarczym... Etyka chrześcijańska nie każe nam w takim stopniu miłować Żyda jak Polaka i chrześcijanina, owszem, zdrowy rozum poleca NAM MIEĆ się na baczności przed wrogiem dążącym do osłabienia naszej siły narodowej i naszych przekonań religijnych. Hasłem naszym niech będzie: Wydobyć się spod wpływów żydowskich. Jeśli Żydzi chlubią się tym, że zachowali w ciągu wieków swą narodową samodzielność, nie dopuszczając w szerokie masy ludu zbawczego wpływu chrześcijaństwa, to niechże nam nie mają za złe, jeśli w tym względzie pójdziemy za ich przykładem i zamknijemy się szczelnie przed rozkładowymi czynnikami płynącymi z obcego nam duchowo żydostwa !!! ..."

Ksiądz Stach nie był jedynym w przedwojennej Polsce. Antysemickie działania "naukowe" prowadziła też inna, znana w tamtym okresie postać, ks. Trzeciak - uczestnik "sympozjów naukowych" poświęconych Żydom w Norymberdze. W pierwszym okresie istnienia III Rzeszy faszystci stworzyli szereg "instytutów badania spraw żydowskich" mających opracować podstawy ideologiczne przyszłej zagłady. Najbardziej trafnie działania te określił G.K. Chesterton pisząc o "wspaniałomyślności" stworzenia nauki o chorobie dziedzicznej człowieka, którego zamordowano.

Nie zamierzam tu przedstawiać wszystkich antysemickich akcji w Polsce przedwojennej, opisywać pogromów organizowanych przez Obóz Narodowo-Radykalny, studenckich akcji hett ławkowych, itd. Chcę tylko uświadomić, iż to, o czym pisałem wyżej stało się w przyszłości, w czasie II wojny światowej motorem działania niektórych Polaków. Poglądy, które przedstawiłem wrosły tak głęboko w świadomość tych wyznawców idei, że nie potrafili oni ujrzeć w Żydach ludzi.

Zastanówmy się, dlaczego normalni, skądinąd, ludzie potrafili tak bezkrytycznie poddać się obłudnej hitlerowskiej idei "zlikwidowania problemu żydowskiego". Najtrafniejszą według mnie odpowiedź na to pytanie udziela Olgierd Górka, który w artykule "Najgorsze strony antysemityzmu", opublikowanym w emigracyjnej "Nowej Polsce" w czerwcu 1945 roku w Londynie pisał m.in.:

*) Stach P., ks. dr, Syjonizm a odbudowa Palestyny w ostatniej dobie, Kraków 1925, nakładem "Głosu Narodu", s.35-38. Imprimatur L.494 4E
Kuria Metropolitalna Leopoli 8.VII.1925. Vincentus Czajkowski, Nihil Obstat 7.VII.1925, ks.Franciszek Lisowski, Cenzor.

"... Celem Hitlera i nazizmu jasno i otwarcie postawionym było przerobienie narodu niemieckiego na bezwzględnie brutalny, krwiożerczy i zaborczy element do opanowania Europy i świata, a to kosztem przekreślenia indywidualnego szczęścia poszczególnego Niemca. By jednak człowieka w jego dążeniach naturalnych i potrzebach serca przekreślić trzeba go przede wszystkim zdeprawować moralnie, a do tego nie ma lepszej ani bardziej chwytliwej broni, działających skutecznie wódc swoich i obcych, jak antysemityzm podniesiony do godności idei. W ten sposób hitleryzm do wszystkich prusko-zaborczych, a wrodzonych elementów duszy niemieckiej dołączył - i to tylko dzięki antysemityzmowi - jako składnik naczelny, elementy okrucieństwa i barbarzyństwa, wychowanie narastające na drożdżach antysemityzmu, również do brzo u Niemców jak w pewnych narodach środkowo-wschodniej Europy, jeśli i o ile tymu wpływowi uległy..."

W moich rozważaniach nad postawą Polaków w stosunku do Żydów w czasie okupacji pominię, jak wspominałem już wyżej, zachowania pozytywne. Zrobili to za mnie inni, którzy bali się mówić czy pisać o stronie będącej do chwili obecnej za zasłoną milczenia, a której odsłonięcie przez Lanzmanna spowodowało taką burzę.

W miarę realizacji hitlerowskiego planu zagłady odgradzono Żydów od reszty społeczeństwa, w którym dotychczas żyli, murami gett. O ile poprzednio, widząc na ulicy Żyda Polak /bez względu na poglądy/ miał do niego jakiś stosunek osobisty, tzn. stosunek do człowieka - o tyle po odizolowaniu tej grupy stosunek ten przekształcił się w formę stosunku człowieka do pojęcia ogólnego: Żydzi, a relację taką kształtując przede wszystkim propaganda. Niemcy uprawiali propagandę wieloma sposobami. Niestety, w wielu przypadkach przy pomocy Polaków. Posiuzę się przykładami. Byli wśród Polaków ludzie, którzy pisali i wydawali w języku polskim skierowane do naszego społeczeństwa broszury, gazety i książki. Leży przede mną na stole wydana w 1942 r. w Krakowie książka Wojciecha Grzegorzaka "Kościoł na wzgórzu". Autor opisuje historię komunisty - Żyda, Mojżesza Nachaźkina, którego za profanację kościoła katolickiego i morderstwo kościelnego spotkała "kara boża". Inna broszura autorstwa Zbigniewa Kowalewskiego pt. "Śmiertelny wróg chrześcijaństwa" jest "studium historycznym" tragicznych losów Nerona, który według autora tylko dlatego prześladował pierwszych chrześcijan, że zmusili go do tego Żydzi. Przykłady można mnożyć w nieskończoność. W uprawianiu propagandy antysemickiej współpracowali z Niemcami niektórzy polscy dziennikarze, np. Skiński i Budrecki - redaktorzy "Przełomu". Cel był jeden - taki sam zresztą jakim posługuje się współczesna propaganda komunistyczna - wzbudzić najpierw obojętność, potem nienawiść...

Osiągnięto to w krótkim czasie. Adolf Rudnicki pisze w swoich "Dziennikach" *) o reakcji wcale niemałych grup polskiego społeczeństwa na powstanie w getcie warszawskim:

"... Łuny były widoczne w każdym kącie miasta i o każdej porze. O tym wszystkim, o dzieciach żywcem uwędzonych, mówiło się: to w getcie, co brzmiało jakby gdzieś hen. Mówiło się: to w getcie - i spokój wracał. A to było na Nowolipiu, na Moranowskiej, na Świętojerskiej, o kilkadziesiąt metrów. O sto metrów dalej w przestrzeni, o piętnaście miesięcy w czasie - i to wystarczyło..."

W "Kobiecej cmentarnej" Zofia Nałkowska przytacza dialog z kobietą mieszkającą koło murów getta: "... Ależ proszę pani, dla nas lepiej jak ich Niemcy wyniszczą. Oni nas nienawidzą gorzej od Niemców... Każdy pani powie to samo, kto ich zna, że niechby tylko Niemcy wojnę przegrały, Żydzi wezmą i nas wszystkich wymordują... Pani nie wierzy? Nawet same Niemcy to mówią. I radio też mówiło..."

*) Rudnicki A., Dzienniki, Kuźnica, nr 1.

Inny przykład, przytoczony przez Mieczysława Jastruna:

"... Kiedy powstanie /w getcie warszawskim - przyp.mój/ już dogorywało, jedna z uczennic zapytała mnie, czy wiem o tym, że Żydzi zbiegli z getta mordują Polaków. Na próżno starałam się jej wytłumaczyć, że ulega rozpuszczonemu przez Niemców fałszywemu plotkom. Zawsze zgodliwa, bardzo inteligentna, uparła się tym razem. Nie wierzyła moim słowom. Wtedy dopiero zrozumiałem: ona chciała aby tak było i dlatego wierzyła nawet tej wieści, obliczonej na najniższy gmin intelektua^lny..."

Wpływy propagandy antysemitki objawiały się nie tylko w poglądach, lecz i w czynach:

"...Ogłoszono wyrostkom dziesięcio- i dwunastoletnim, że Żydzi zabili polskiego chłopca. Niewielka grupa chłopców, głównie z przedmieść pobiegła do dzielnicy, gdzie jeszcze wówczas nie oddzielni murem mieszkali Żydzi i rzuciła się na nich z gołymi pięściami..."^{*)}).

"... Kupowałem w jednym z antykwaratów książki. Nagle z ulicy Marszałkowskiej wybiegła w Świętokrzyską gromada wyrostków lat 15-19, uzbrojona w laski i kamienie. Wznosząc okrzyki: "Precz z Żydami" rozpoczęła, biegnąc, wybijać wszystkie szyby wystawowe opatrzone gwiazdką. Tuż za biegnącą gromadą posuwał się z wolna samochód ciężarowy, odkryty, z którego dwu osobników w cywilu dokonywało zdjęć filmowych. Na placu Krasińskich oczekiwał bohaterów samochód ciężarowy, gdzie każdy z wyrostków otrzymywał nagrodę za spełnione dzieło: kawał kiełbasy, pół bochenka chleba i 1/2 litra wódki..."^{**)}

Tę nienawiść niektórych grup Polaków do Żydów, wynikającą z najniższych, prymitywnych instynktów, najlepiej charakteryzuje napisany w okresie okupacji przez Janusza Minkiewicza "Wierszyk historyozoficzny":

"Banderowiec dał mu w głowę,
Szaulis mu siedzenie sprzął,
Niemiec wybił wszystkie zęby
Potem kulą w łeb mu dał.
Nad śmiertelnym go barłogiem
Spytał ktoś ciekawski zbył:
- Kto największym twoim wrogiem?
Ow, nim skonał, charknął: "Żyd!" "

7 lutego 1944 r. Pełnomocnik Rządu na Kraj wydał rozporządzenie tworzące w powiatach Polski Podziemnej Placówki Ekspozytury Śledczej, zadaniem których było m.in. rozstrzeliwanie na miejscu, bez sądu "...przychwycionych na gorącym uczynku przestępców winnych szantażu i wymuszania korzyści materialnych na tle pochodzeniowym..."^{*)}. Już wcześniej Cywilne Sądy Specjalne wydawały wyroki śmierci na tych, którzy dopuścili się zbrodni przeciw Żydom. Te fakty - o których mówi np. Władysław Bartoszewski - świadczą o masowości czynów przestępczych dokonywanych przez niektórych Polaków na Żydach. Aby nikt nie miał wątpliwości, że to co piszę jest nie poparte faktami, oprę się znowu na przykładach:

Jerzy Putrament pisze^{***)}:

"... Przez pół wieku legnął się w Polsce rodzimy antysemityzm, tłumacząc wszystkie nasze nieszczęścia narodowe i socjalne obecnością paru milionów Żydów. Dziś spełniły się marzenia antysemitów: Żydów jako paromilionowej warstwy nie ma... I otóż to jest najbardziej zna-

^{*)} Relacja Jerzego Zagórskiego, Tygodnik Powszechny, nr 26, 1945.

^{**)} Relacja Antoniego Bartnickiego. Archiwum Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie.

^{***)} Putrament J., Odbudowa psychiczna, Odrodzenie, nr 4-5.

mienne. Jesteśmy ubożsi o produkcyjne warstwy żydowskie - inteligentów i rzemieślników. A pasożytnicza warstwa żydowska została od razu zastąpiona przez jeszcze gorszą, bardziej zdziarską, bardziej bezwzględną kastę polskich handełsów...

Tak obrzydliwego mieszczaucha, jak ten nasz nowy, przez Niemców wychowany, nie ma nigdzie. Nie ma i nigdy nie było na całym świecie... W porę dana łapówka któremuś z Niemców i ma mieszkankę po Żydach i g. ty. Sprytnie przeprowadzony szwindel, dziesięciokrotne zdzierstwo, chamska bezwzględność, spekulacja, szantaż - to drogi, którymi doszedł do swej dzisiejszej sytuacji..."

Wielu Polaków stosowało w czasie okupacji w stosunku do Żydów najbardziej podły proceder - szantaż. Niszczono ich psychicznie, doprowadzając niekiedy do stanów skrajnego wyczerpania i samobójstw, w zamian za pieniądze. Kto je miał mógł uniknąć uderk Gestapo, getta. Kto był biedny - ginął. Kategoria szantażystów to cały odrębny problem działań antysemitów. Dla nas, współcześnie żyjących wydają się nie możliwe sytuacje, o których pisał Stefan Otwinowski:

"... Znam grozę warszawskiej ulicy w czasie okupacji. Znam podwójną grozę tych ulic, bo mierzyłem je krokami zwykłego Polaka, którym jestem i krokiem Żyda, którego we mnie widzieli gorliwi patrioci "polscy", patrząc na mój profil i czarne włosy. Znam te spojrzenia - niestety zbyt częste - spojrzenia nie tylko amatorów łatwego i szybkiego zarobku, lecz i kulturalnych na pozór ludzi. Wiem ile kosztuje i jak trudno zapomnieć, kiedy nie Niemiec ale na pozór przyzwoicie wyglądający cywil w zwykłym, zaledwie łobuzerskim języku proponuje: "Odda pan wszystko kosztowne, albo widzi pan tę Wachę na rogu ulicy"... Znam i strach najgorszy: osaczonego taką propozycją człowieka, nie tylko bez pieniędzy ale także bez dokumentów, albo z dokumentami nigdzie nie krytymi..."

Ilu nie-Żydów, żołnierzy AK, NSZ czy innych podziemnych organizacji, mających rysy semickie przypłaciło życiem te działania "rodaków"-szantażystów; ilu Żydów trafiło dzięki nim do komór gazowych nie dowiemy się chyba nigdy. Ludzie szantażujący innych sięgnęli po cudzy dobytek przez krew i cierpienie innego człowieka - wyzbyli się skrupułów i takimi już pozostali - moralnymi kolaborantami zbrodni. O podobnych przypadkach pisze też prof. Aleksandrowicz*) w wydanej niedawno książce. Polek szantażysta terroryzował na ulicy mężczyznę wyglądającego na Żyda, "zapraszał" do najbliższej bramy i zmuszał do rozebrania się w celu sprawdzenia czy "Żyd" był obrzezany. W takim przypadku wymuszał okup lub denuncjował policji. A ile przykrości doznali Żydzi zatrudnieni przymusowo np. przy pracach drogowych**). Ile drwin i poniżeń ze strony społeczności, wśród której jeszcze niedawno żyli?

Faszystowska metoda demoralizacji prześladowanych znalazła - o czym wspominałem już wyżej - pewien oddźwięk w niektórych grupach społeczeństwa polskiego. Wykorzystując atut śmierci - iluzję odsunięcia jej w plan dalszy, stworzono przepaść etniczną między różnymi grupami. Wspominają o tym w swoich pamiętnikach zbrodniarze wojenni biorący bezpośredni udział w zagładzie narodów Europy***).

Osobnym problemem jest stosunek Polaków do Żydów w obozach koncentracyjnych. Mogłoby się wydawać, że obóz zagłady powinien łączyć we wspólnotę ludzi tam umieszczonych, że tam, bez względu na narodowość, wszyscy więźniowie byli dla siebie braćmi. Takie przynajmniej wrażenie można odnieść po przeczytaniu bogatej literatury na ten temat wydanej w tysiącach egzemplarzy w PRL. Nic bardziej złudnego. Teza o

*) Aleksandrowicz J., Kartki z dziennika doktora Twardego. Kraków - Wrocław 1983, WL, s.43.

**) Ibidem, s. 27, 31.

***) np. Rudolf Hoess, Autobiografia, Relacja o "ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej", Biuletyn GKBZHWp, VII. Warszawa 1951.

sturpocentowej szlachetności więźniów narodowości polskiej służyć ma określonym celom propagandowym. W myśl jej założeń to tylko Niemcy byli mordercami i tylko oni ponoszą odpowiedzialność za piekło Oświęcimia i innych miejsc zagłady. A jak było naprawdę?

"... Tutaj /w Oświęcimiu - przyp. mój/ zetknęliśmy się po raz pierwszy z naszymi szefizowanymi głupcami. Studentka Polka potrafiła się cieszyć, że "choć się dzieją się w obozach rzeczy straszne, to przynajmniej rozwiązują się kwestię żydowską". Uczeń gimnazjalista z rodziny inteligenckiej, będąc pielęgniarzem w szpitalu potrafił wywlec chorego Żyda z łóżka i bić go, a w rok później pracować już na usługach Politische-Abteilung przy tropieniu żydo-komuny. Lekarz Polak, gorliwiej niż SS wysyłał chorych Żydów na śmierć.

Tego rodzaju praktyki zwróciły uwagę więźniów innych narodowości. Ze zdumieniem przyglądano się brakowi solidarności naszego społeczeństwa..."

Trudno posądzać autora tych słów o stronniczość. Opublikował on swoją relację - dzisiaj już zapomnianą - w okresie, kiedy w Polsce panowała jeszcze względna wolność słowa. Potem już do tego nie wrócono. Nie wrócił i on sam, zapominając o ideałach swojej młodości...

Ktoś, kto czyta o czym piszę, powie - no, dobrze - do takich czynów zmuszali Polaków Niemcy, my jesteśmy z natury dobrzy, tolerancyjni. Gdyby nie faszyzm nic takiego nie mogło być się wydarzyć. Czy na pewno autor takiego stwierdzenia miałby rację?

4 lipca 1946 roku Kielce stały się widowiskiem krwawej zbrodni popełnionej na Żydach. Kilka miesięcy wcześniej doszło do podobnych wydarzeń w Rzeszowie. Tam również pod pozorem dokonania mordu rytualnego zorganizowano pogrom ocalałych Żydów. Znaleziono nawet zabite dziecko... Dziś, na podstawie dokumentów - skrzętnie skrywanych w archiwach policyjnych - można stwierdzić, że zabita dziewczynka była Żydówką, sierotą, ocalałą dzięki pomocy Polaków - Ludzi Prawdziwych. Zamordowano ją tylko dlatego, aby wywołać kampanię antyżydowską. Pogrom odbył się też w lipcu 1946 r. w Częstochowie. Usiłowano tam zlinchować człowieka uważanego za Żyda, posadzono go o zamordowanie polskiego dziecka. Kim był w istocie ten "Żyd"? Był Polakiem, nazywał się Eugeniusz Witkiewicz i pracował w fabryce "Metal". Fanatycznemu tłumowi to nie wystarczyło... Biskup częstochowski, Teodor Kubina, piisał w odezwie wydanej w tamtych dniach:

"... Mimo to, mieliśmy możność stwierdzić, że u nas w Częstochowie znaleźli się tacy, którzy podobnie jak w Kielcach usiłują uczynić wszystko, ażeby ciemnotę ulic i domów pchnąć do zbrodni, jaką oglądaliśmy z przerażeniem Kielce..."

Propaganda komunistyczna usiłuje zdyskredytować film Lanzmanna. Czyni to dlatego, że Żydzi PRL-owi są teraz potrzebni. Decydenci polityczni i gospodarczy szukają pieniędzy wszędzie. Nawet u tych, których wygnali z kraju... "Racje stanu" PRL-u zmieniają się szybko. A jeszcze nie tak dawno, w latach siedemdziesiątych, gdy jako przymusowy "gość" bywałem w ubeckich aresztach, tuż przed odbyciem "obowiązkowych" 48 godzin słyszałem: "I z kim się pan, Polak, zadaje, z Żydami?"

Czy wolno nam milczeć? Milczenie tylko w niektórych wypadkach jest najgłośniejszym krzykiem protestu - w warunkach panujących obecnie w Polsce staje się najczęściej wyrazem rezygnacji. Popełniliśmy w historii wiele błędów i nie możemy zaprzeczać, gdy inni nam je wytykają. W historii znaczenie ma nie tylko to co pozytywne. Odpowiedzialność społeczeństwa jest zagadnieniem złożonym - naród godny, to naród odpowiedzialny za "czyny tych ludzi, których postępowanie jest zaprzeczeniem wartości duchowych wypracowanych przez wszystkich członków narodowej wspólnoty. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy, tak jak bi-

*) Cyfrankiewicz J. Oświęcim walczący, Naprzód, 1945

skupi polscy wobec Niemców przed dwudziestoma laty, dzisiaj w 1985 roku prosić naród żydowski o przebaczenie. Nie z powodu krzywd, które wyrządziliśmy mu jako społeczność, lecz dlatego, że czynów takich dopuścili się ludzie nas niegodni...

"...Zawiśle są tajemnice duszy narodowej. Gdy widzę dziś objawy ciemnego antysemityzmu wśród polskich mas pytam - gdzie jestem, czy w kraju, który poznał na własnej skórze ramię rasisty?..." *).

/map/

*) Jerzy Zagórski, Żydzi, Polacy i zaminowane dusze. Tygodnik Powszechny, nr 26/1945.

WŁODZIMIERZ JURASZ

GRÓB NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

przed Grobem Nieznanego Żołnierza
dwaj nieznani żołnierze
cierpliwie czekają
na swój dzień

BURZA

Spodziewano się jej od dawna. Cóż,
nie było innego wyjścia. I w końcu
przyszła. Mój pies wył od rana.
Zniknęły gdzieś tak zawsze nachalne
gołębie. Ludzie, jak zwykle w takich
przypadkach, starali się nie wychodzić
z domu. Tylko nie było chmur, deszczu,
błyskawic i grzmotów. Cały świat
spowijała łagodna poświata. I nie
wiedomo dlaczego nezaajutrz - w szczerym
polu - znaleziono zwęglone zwłoki.

• • •

za to co kocham
mógłbym może umrzeć
to czego nienawidzę
trzymam mnie przy życiu

WŁODZIMIERZ JURASZ

DYSYDENCI

J. Etkind, niedawny profesor Instytutu im. A. Hercena w Leningradzie a dziś Sorbony /w ZSRR pozbawiono go tytułów i stopni naukowych/ napisał: "Niestety, nie znamy naszego społeczeństwa: socjologowie nie mają możliwości badania go, pisarze - przedstawiania w powieściach historycznych i filozofowie uogólniania jego prawdziwości". Punktem wyjścia dla nich nie jest bowiem rzeczywistość, lecz pewien z góry wypracowany idealny schemat.

Podobnie uważa Zinowiew, autor koncepcji dwu komunizmów - ideologicznego i realnego. Jego zdaniem komunizm ideologiczny to wyłącznie realność tekstów, idee znane z dzieł klasyków marksizmu i broszurek ideologów partyjnych. Komunizm realny natomiast to konkretna rzeczywistość. Jest ona mało zbadana i nie opisana w kategoriach socjologicznych.

Istnieje powszechne przekonanie, że w ZSRR, państwie totalitarnym, którego system rządów określił Awtorchanow mianem partokracji, panuje atmosfera wchłaniającego strachu. Na niespotykaną dotąd skalę stosuje się tu terror, który ma zastraszać, szykanować, utrzymywać w niewolniczym posłuszeństwie. Nie chodzi wyłącznie o wynaturzony terror stalinowski. Równie dobre efekty w poskramianiu społeczeństwa przynosi "praworządność socjalistyczna" - precyzyjnie zorganizowany aparat sądownictwa a także organizowanie "opinii publicznej". W państwie radzieckim oprócz jawnych represji stosowano także metodę tajnego terrorku, inicjując na przykład napaść złodziejską na mieszkanie niewygodnego człowieka i mordując go.

Decydującą rolę odgrywa w ZSRR stosunek władzy do własnego społeczeństwa, nacechowany pogardą wobec narodu i jednostki. Naczelną dewizą rządzących jest nieliczenie się z instancjami zbiorowości. Jak twierdzi Zinowiew, wkrótce dojść może do precyzyjnego podziału na rasę panów i psów. Człowiek powinien stać się własnością państwa, zostać upaństwowiony.

Od pierwszych dni swego istnienia państwo radzieckie obwarowało się przepisami, prawami, dekretemi, ustawami gwarantującymi mu całkowite podporządkowanie wszystkich obywateli. Dekret o wprowadzeniu cenzury pojawił się w dziesięć dni po przewrocie październikowym, a niewiele później ukazał się pierwszy indeks książek zakazanych. Jesienią 1922 roku wydano z kraju 160 uczonych, pisarzy, działaczy społecznych, filozofów. Na przymusowym wygnaniu znaleźli się wówczas między innymi M. Bierdiajew i S. Bułhakow. Zaczęły się nasilać coraz bardziej pogroźki przeciwko tym, którzy nie chcieli biernie poddać się sowietywacji. Walczono z pisarzami i krytykami, którzy nie zaakceptowali w pełni istniejącego porządku. Literat M. Helfand w czasopiśmie "Pieczęć i rewolucja" napisał: "za systematyczną wroga robotę ideologiczną należy się kara ideologicznego rozstrzelania". S. Ingułow był bardziej radykalny: "krytyka winna mieć konsekwencje: aresztowania, procesy sądowe, surowe wyroki, fizyczne i moralne egzekucje". Po utworzeniu Związku Pisarzy Radzieckich literatura została oficjalnie upaństwowiona i pojawił się "artysta w uniformie".

W latach trzydziestych zaczęły się masowe represje, czystki, procesy pokazowe - prawdziwe akty eksterminacji, wypełniły się obozy, które istniały od roku 1918, założone na mocy dekretu Lenina. Terror kilku dziesiątków lat stalinizmu zbierał obfite żniwo. Jak napisał G. Watson: "czerwone lata trzydzieste odrodziły się w czerwonych latach pięćdziesiątych". Ponurą epopeję łagrową przedstawił A. Sołżenicyn w

głośnym dziele "Archipelag GUL-ag". Opisał masową eksterminację 60-ciu milionów ludzi. Byli wśród nich zdecydowani przeciwnicy totalitarnego państwa i jego zakłamej ideologii.

Opór przeciwko władzy państwa i partii istniał od chwili narodzin nowego systemu. Przybierał rozmaite postacie, miał różne natężenia. Jedną z najbardziej drastycznych form oporu była emigracja wewnętrzna. W wypadku np. uczonych-humanistów polegała na ograniczaniu się wyłącznie do pisania o tekstach i zjawiskach nieideologicznych. Wyraźne nasilenie oporu miało miejsce po śmierci Stalina. Na jego rozwój wpłynęły nie tylko warunki wewnętrzne - liberalizacja życia za Chruszczowa, ale także czynniki zewnętrzne, przede wszystkim zaś ruch w obronie praw człowieka.

Od pewnego czasu ludzi sprzeciwiających się zniewoleniu jednostki przez system, a sprzeciw ten może przejawiać się w rozmaitych sferach społecznej, politycznej, kulturalnej, religijnej - przyjęto w ZSRR określać mianem dysydentów. Nazwa ta została przejęta z Zachodu /z angielskiego: dissident - odmiennych zapatrywań, niezgodny/, przy czym nadano jej zabarwienie ujemne. O wprowadzeniu tego słowa do oficjalnego języka propagandy zdecydowało cudzoziemskie brzmienie. Obec słowo, nie w pełni zrozumiałe dla ogółu, stało się nazwą-przezwyśkiem. Wprowadzono je do słownika nowomowy wierząc w magię terminów. Dla propagandy wygodniej jest nierzaz nazywać rzeczy nie po imieniu. Lepiej jest powiedzieć dysydent, niż po prostu przeciwnik ustroju, zakłameń, ucisku, cenzury.

Jest wiele zjawisk nieznanych gdzie indziej a typowych dla Rosji. Należy do nich tzw. "samizdat". W czasach, gdy każde słowo jest reglamentowane, gdy "aresztuje się" każda wolna myśl, dusi literaturę, obieg pozaoфіcjalny /samizdat/ staje się jedyną szansą przetrwania pewnych idei, wypełnienia kulturowej próżni. Samizdat powstaje więc niejako z braku wiary w sens normalnej egzystencji z jednej strony, a z drugiej - właśnie z wiary w jej siłę i możliwości.

Rewolucja październikowa położyła kres wolności słowa, o której myśłano po roku 1905 i po rewolucji lutowej. Zabito wolność słowa do tego stopnia, że wszelka myśl o obiegu pozaoфіcjalnym już byłaby orwellowską "zbrodnią myślową".

Prawdziwe narodziny samizdatu - wcześniej istniał w załączkowej formie - przypadają na okres chruszczowski, początkowo dość liberalny. W 1954 roku w odciskach zaczął krążyć "Doktor Żiwago" B. Pasternaka, powieść - z czego początkowo sam autor nie zdawał sobie sprawy - nie mająca szans na publikację w ZSRR. Właśnie za nią Pasternak otrzymał nagrodę Nobla.

Pierwszymi jednak, którzy pisali z myślą o samizdacie, byli M. Narieca, W. Tarsis, A. Jesienin-Wolpin /syn znanego poety Sergiusza/. Łączyło ich jedno - wspólna biografia: areszt, łagier, zesłanie, szpital psychiatryczny /Rosjanie używają familijnej nazwy "psichuszka"/ i wreszcie emigracja. Swe przeżycia opisywali i podawali do wiadomości innych, a władza karała, sądziła, zamykała w szpitalach psychiatrycznych. Ich utworom brak wprawdzie głębi, nie są one interpretacją totalitaryzmu, stanowią jednak świadectwo epoki dane przez ludzi dręczonych i wołających o pomoc.

Półowa lat 60-tych przynosi głośny proces A. Siniawskiego i J. Daniela. Proces wytoczony za publikację utworów za granicą. Krążyły one początkowo w samizdacie, potem - co stanie się niemal regułą - przyniknęły na Zachód, ukazały się w tzw. "tamizdacie".

5.XII.1965 roku, w rocznicę uchwalenia sowieckiej konstytucji, na placu Puszkina w Moskwie, koło pomnika poety zebrało się około 50 osób. Niektórzy trzymali plakaty z hasłami: "Szczujcie konstytucję - podstawowe prawo ZSRR, "Wolność dla Siniawskiego i Daniela". Uczestnicy demonstracji, która stała się początkiem ruchu demokratycznego w ZSRR, żądali jawności przewodu sądowego. Manifestację rozpędzono.

Proces Siniawskiego i Daniela, toczący się w Moskwie w lutym 1966 roku, zakończył się następującym wyrokiem: Siniawski 7 lat obozu o zastrzyżonym reżimie, Daniel - 5 lat. Jak powiedział w ostatnim słowie Siniawski, był to proces, na którym pociągnięto do odpowiedzialności za utwór beletrystyczny. W akcie oskarżenia zarzucano obu pisarzom, że dążyli do "rewizji zasad marksizmu", występowali przeciwko kierowniczej roli KPZR w kulturze radzieckiej, a nawet, co brzmi niemal fantastycznie - że ich utwory są oszczerstwami rzucanymi na przyszłe losy społeczeństwa.

Sąd nad Siniawskim i Danielem pokazał, że na ławie oskarżonych można zachować godność, nie kajać się publicznie, jak to z reguły miało miejsce w dotychczasowych procesach politycznych. Spowodował on szereg wystąpień do władz z petycjami domagającymi się jawności przewodu sądowego, złagodzenia wyroku, niestosowania represji.

Proces ten posiada szczegółową dokumentację, która krążyła najpierw w samizdacie, a później przedostała się na Zachód. Zbiór materiałów i dokumentów z tego procesu politycznego przygotował Aleksander Ginzburg dając im nazwę "Biała Księga". Zawierała ona dane biograficzne podsądnych, opis sprawy, stenogram rozprawy i liczne odezwy dotyczące sądu nad Siniawskim i Danielem.

Kolejny zbiór dokumentów z rozprawy politycznej dotyczył redaktora "Białej Księgi" - A.Ginzburga i jego towarzyszy, którzy wkrótce również znaleźli się w więzieniu. Przygotowali oni almanach "Feniks", zawierający różne utwory samizdackie, a wśród nich artykuł Siniawskiego oraz list otwarty Jurijsa Gałanskowa do Szołochowa, w którym zarzucał mu, iż wziął udział w prześladowaniu skazanych pisarzy /w jednym ze swoich publicznych wystąpień Szołochow powiedział, że zasługują na rozstrzelanie/. Na początku 1967 roku władze aresztowały Ginzburga, Gałanskowa, współtwórcę "Feniksa" Aleksieja Dobrowolskiego oraz maszynistkę Wierę Łaszkową. W styczniu 1968 roku odbyła się rozprawa, podczas której zapadły wyroki: Gałanskow - 7 lat obozu o zastrzyżonym rygorze, Ginzburg - 5, Dobrowolski - 2, Łaszkowa - 1 rok. Gałanskowowi nie dane było doczekać wolności. W obozie zapadł na chorobę wrzodową, jednak rodzinie nie zezwolono na przysłanie odpowiednich leków. Zmarł w 1972 roku po zbyt późno przeprowadzonej operacji. Pokazowy sąd nad twórcami "Feniksa" miał być "odповідzią" władzy na odruch protestu, jaki wywołała rozprawa z Siniawskim i Danielem. Tymczasem stał się on katalizatorem protestu społecznego a nie, jak było zamiarem władzy, jego zdławienia.

Szczególny nurt w samizdacie stanowiły wspomnienia obozowe. Zapoczątkował je oficjalnie wydrukowany w 1961 roku w czasopiśmie "Nowyj mir" - "Jeden dzień Iwana Denisowicza" Sołżenicyna. Trudno wymienić wszystkie utwory poświęcone tej tematyce. N.Chruszczow mówił, że redakcje czasopism otrzymały wówczas około 10 tysięcy wspomnień o tej tematyce. Najważniejsze z nich to G.Ginzburg "Stroma Droga", eserki E.Olickiej "Moje wspomnienia" /o łagrach lat dwudziestych/, P.Jakira "Dzieciństwo w więzieniu", A.Marczenki "Moje zeznania".

Ze wspomnień innego typu wymienić należy przede wszystkim dwie wnikliwe interpretacje komunistycznego totalitaryzmu - książki N.Mandelstam "Wspomnienia" i "Druga księga", a także wspomnienia /ale nie całkiem obiektywne/ S.Alliżujewej, córki Stalina - "Dwadzieścia listów do przyjaciela" i "Tylko jeden rok". Również i te dzieła przeszły drogę od samizdatu do tamizdatu.

Od 1968 roku do 1973 na Zachód przeniknęło 1540 utworów, w roku 1974 - 455. Później fala powoli opadła. Czy przestraszczone surowych represji? Czy zabrakło talentów? A może dzisiejsza literatura rosyjska, jak twierdzą niektórzy, przeniosła się za granicę?

Wśród prześladowanych ludzi pióra znaleźli się najwybitniejsi dziś poeci rosyjski J.Brodski. Aresztowano go w 1963 roku za "tuniejadstwo"

- pasożytnictwo. To właśnie dla takich jak Brodski - ludzi niewygodnych, protestujących - uchwalona została w ZSRR ustawa o posożytnictwie. W marcu 1964 roku Brodski został zesłany na 5 lat w okolice Archangielska, gdzie musiał ciężko pracować fizycznie. Posypały się jednak liczne protesty wybitnych literatów i artystów, i w efekcie Brodski został zwolniony. W 1972 roku otrzymał zezwolenie na emigrację i dziś przebywa w USA.

W przypadku Władimira Bukowskiego powodem aresztowania w 1963 roku było przechowywanie kopii książki Milovana Djilasa "Nowa Klasa". Podobnie jak Gałanskow uznany został za niepożytecznego. Znalazł się w szpitalu psychiatrycznym w "słynnym" moskiewskim Instytucie Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego. W 1965 roku został ponownie aresztowany i umieszczony w "psychuszcze", tym razem w Leningradzie, za zorganizowanie demonstracji protestacyjnej przeciwko aresztowaniu Siniawskiego i Daniela. Następnie aresztowano go za analogiczną demonstrację w obronie Gałanskowa, Ginzburga, Dobrowolskiego. Wyrok zapadł w oparciu o artykuł 190 kodeksu karnego - "szerzenie jawnie kłamliwych zmyśleń szkalujących ustrój społeczny".

W 1971 roku Bukowski opracował "Białą Księgę" mówiącą o zamykaniu w szpitalach psychiatrycznych "inakomyslnych" - ludzi o poglądach odmiennych od oficjalnie głoszonych. Został aresztowany i skazany w sumie na 12 lat: dwa lata więzienia, pięć lat obozu i pięć lat zesłania. Wyrok zapadł w 1972 roku w oparciu o art. 70 KK - agitacja i propaganda antyradziecka. W grudniu 1976 roku został wymieniony za przywódcę chilijskiej partii komunistycznej Luissa Corvalana. Obecnie mieszka w USA.

Zbiór dokumentów z procesu Bukowskiego przygotował Paweł Litwinow, który właśnie w 1972 roku powrócił z zesłania. Wkrótce potem został wezwany do KGB, gdzie uprzedzono go, iż w wypadku opracowania takich materiałów będzie pociągnięty do odpowiedzialności. Litwinow zrobił wówczas rzecz bez precedensu - spisał swoją rozmowę z funkcjonariuszami KGB i zaczął ją rozpowszechniać.

Podobny los jak Bukowskiego spotkał innego dysydenta radzieckiego, A. Amelrika. W 1963 roku został relegowany z Uniwersytetu Moskiewskiego, gdzie studiował historię. W okresie poprzedzającym studia, a także po usunięciu z uniwersytetu pracował w różnych zawodach. W tym czasie coraz wyraźniej literatura i publicystyka polityczne stają się podstawową dziedziną jego zainteresowań i określają sens jego życia. Twórczość Amelrika i związana z nią działalność w ruchu praw człowieka stają się przyczyną represji policyjnych i sądowych. Oskarżony o upowszechnianie sztuk teatralnych o antyradzieckiej wymowie, a także o powiązania z malarzem uprawiającym - zdaniem policji - pornografię, zostaje skazany na zesłanie do Zachodniej Syberii /1965-1966/. Beznamietny i realistyczny opis inwigilacji policyjnej, procesu, wędrowki przez więzienia-etapy, wreszcie życie zapadłej wsi syberyjskiej, gdzie kończą się jeszcze resztki autentycznej więzi międzyludzkiej - wszystko to znajdujemy w jego książce "Niechciana podróż na Syberię /1966-1967/".

W 1970 roku Amelrik trafia po raz drugi do więzienia i obozu na Uralu a następnie na Kołymie, by w 1973 roku zostać zesłanym do Magadanu. Stąd wychodzi na wolność w 1975 roku. W następnym roku zostaje zmuszony do emigracji. W latach 1977-1978 podejmuje wykłady o ZSRR w Uniwersytecie Utrechckim /Holandia/ oraz Uniwersytecie Harvardzkim i G. Waszyngtona w USA.

Największy rozgłos przyniosła Amelrikowi praca "Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?". Zawiera ona analizę zasadniczych ideologii opozycyjnych w ZSRR i ich społecznego podłoża. Dostarcza także próby określenia szerszego zjawiska tendencji demokratycznych. Upatruje w konflikcie z Chinami zasadnicze zagrożenie dla istnienia ZSRR.

Oprócz analiz politycznych i socjologicznych zawiera wyraźne koncepcje historiozoficzne powiązane z tradycją myśli rosyjskiej.

Andriej Amalrik zginął w wypadku samochodowym w roku 1980 w drodze do Madrytu, gdzie miał przedstawić stan realizacji Aktu Końcowego KBWE w ZSRR. Śmierć ta wzbudziła liczne komentarze i podejrzenia, bowiem nastąpiła w okolicznościach nadto podejrzanych.

Jedną z częstych, jak w przypadku Amalrika, form rozprawy z pisarzami dysydenckimi, których dzieła krążyą w samizdacie lub tamizdac'ie jest zmuszanie do emigracji i udzielanie zezwolenia na wyjazd na zachód po odbyciu kary obozu lub zesłania. Dziś już dziesiątki światowych prozaików, poetów, dramaturgów, krytyków, publicystów, eseistów znajduje się poza granicami ZSRR. Wymieńmy przynajmniej niektórych: A. Sołżenicyn, W. Maksimow, W. Niekrasow, J. Brodski, A. Siniewski, W. Wojnowicz, A. Zinowiew, J. Aleszkowski, W. Bukowski, A. Aksjonow, N. Gorbaniowska, N. Korżawin. Na Zachodzie zmarli: A. Amalrik, W. Galič, A. Kuzniecowa, W. Bielinkow.

Z biegiem czasu liczba protestów adresowanych do władz i kierowanych do radzieckiej i światowej opinii publicznej coraz bardziej wzrastała. Zmienił się także ich ton - od nieśmiałego początkowo do coraz bardziej zdecydowanego i ostrego. Liczni sygnatariusze listów i petycji /przeważała zdecydowanie inteligencja/ sądzili, że władze wezmą pod uwagę ich prośby i żądania, i rozpoczną politykę reform.

Wielkie znaczenie dla rozwoju i kształtu przyszłego ruchu "dysydenckiego" miała zorganizowana 25 sierpnia 1968 roku na Placu Czerwonym w Moskwie manifestacja na znak protestu przeciw interwencji wojsk sowieckich w Czechosłowacji. W sercu imperium, pod muremi Kremla, garstka sprawiedliwych wystąpiła pod hasłem "Za waszą i naszą wolność". Siedem osób /m.in. N. Gorbaniowska, P. Litwinowa, B. Feinberga/ zamknięto na lata w więzieniach, obozach i szpitalach psychiatrycznych. Demonstranci doskonale wiedzieli na co się decydują - Vadim Delone w czasie procesu wypowiedział znamienne słowa: "Wiedziałem, że za te kilka minut wolności zapłacę latami więzienia".

Ich niezwykła odwaga w głoszeniu swoich przekonań stała się na długo przykładem dla innych.

W tymże 1968 roku pojawił się termin Ruch Demokratyczny. Nazwę tę zaproponowali P. Litwinow i A. Amalrik. W następnym roku ukazał się Program Ruchu Demokratycznego w ZSRR.

Pierwszym formalnie istniejącym niezależnym od władz ugrupowaniem demokratycznym była założona w 1969 roku w Moskwie licząca 15 osób Inicjatywna Grupa Obrony Praw Człowieka w ZSRR. Jak napisał jeden z jej uczestników A. Sacharow: "już sam fakt istnienia niezależnego od władzy komitetu ma niezwykle moralne znaczenie dla kraju".

Inicjatywnej grupy nie aresztowano od razu, władze początkowo jakby ją ignorowały. Z biegiem czasu jednak dziesięciu jej członków znalazło się w obozach lub szpitalach psychiatrycznych na podstawie rozmaitych oskarżeń.

Nadzwyczaj ważnym wydarzeniem w rozwoju ruchu dysydenckiego w ZSRR było założenie - jesienią 1970 roku Komitetu Obrony Praw Człowieka. Powstał on z inicjatywy trzech osób: W. Czalidze, A. Sacharowa i A. Twerdochlebow. Działali w nim także A. Wolpin, I. Szaferowicz, G. Podjapolski /zmarł w 1976 roku/ i wielu innych.

Jedną z form działalności Komitetu było występowanie w obronie prześladowanych, aresztowanych, zesłanych, zamkniętych w zakładach psychiatrycznych, przeprowadzających głodówki protestacyjne. Tak np. w lipcu 1971 roku Komitet wystosował apel do Światowego Kongresu Psychiatrików, podpisany przez Sacharowa, Twerdochlebową, Czalidze i Szaferowicza. Zwracano w nim uwagę na sytuację osób siłą umieszczanych w szpitalach psychiatrycznych.

Komitet lub poszczególni członkowie występowali w obronie Jesienina - Wolpina, Grigorienki, Ginzburga, Gałanskowa, Pluszcza, Bukowskiego,

Kowalewa, Feinberge, Borisowa, Podrabinka i wielu, wielu innych. Protestowano przeciwko bezprawnym rewizjom m.in. w mieszkaniu Czalidze, który wydawał Kronikę bieżących wydarzeń.

Ruch demokratyczny wzmościł ruchy narodowościowe, takie np. jak walka Tatarów Krymskich o powrót na ziemię rodzinną - Krym, czy ruchy narodowe na Ukrainie, Litwie, w Gruzji i Armenii.

Wzrost działalności Komitetu Obrony Praw Człowieka zaczyna się od roku 1974. Wpłynęła na to publikacja "Archipelagu GUL-ag" i wydalenie Sołżenicyna z ZSRR. Władze, chcąc obniżyć wówczas napięcie fali protestów, aresztowały znanych dysydentów - S.Kowalewa, A.Twerdochlebowa, A.Marczenkę, M.Dżemilewa. Ważnym faktem, który wpłynął na zaktywizowanie się ruchu dysydenckiego było przyznanie w roku 1975 Nagrody Nobla Sacharowowi.

W roku 1976 powstała Moskiewska Grupa Helsińska, która przejęła funkcję obu wymienionych wyżej grup. Oprócz wspomnianych wcześniej działaczy w jej pracach uczestniczyli m.in. E.Bonner, A.Marczenko, A.Podrabinek.

Członkowie wszystkich ugrupowań poddawani byli represjom. Mowa była już o A.Ginzburgu. Grupa Helsińska wydała w samizdacie biuletyn informacyjny o innych "sprawach", m.in. J.Orłowa, A.Szczarańskiego, którym zarzucono szpiegostwo na rzecz CIA.

Najpełniej udokumentowana jest sprawa Orłowa - proces znanego obrońcy praw człowieka. Zgodnie z wypowiedzią byłego prezydenta USA J.Cartera, sprawa ta miała bezpośredni związek z Aktem Kończącym Konferencji w Helsinkach. Proces Orłowa stał się procesem międzynarodowego ruchu w obronie praw człowieka. Spośród członków Grupy Helsińskiej aresztowani zostali także: M.Rudenko, O.Tichyj, Z.Gamsachurdija, M.Kostowa, M.Mari-nowicz, M.Matus-ewicz, W.Piatkus, L.Łukanienko, S.Nazarian, Z.Arutunian.

W grudniu 1980 roku na emigracji założona została Konsultacyjna Rada Obrony Praw Człowieka, w której skład weszli m.in. W.Bukowski, E.Kuzniecowa, T.Venclova. W związku z rozpoczynającą się w Madrycie Konferencją Rada Konsultacyjna zwróciła się do tego forum z wezwaniem, aby wnikliwie rozpatrzyć i obwieścić całemu światu o oburzających naruszeniach postanowień Aktu Helsińskiego przez Związek Radziecki i wyciągnąć w stosunku do niego konsekwencje. Domagano się wycofania wojsk radzieckich z Afganistanu. Wyrażono pełną solidarność z walką polskich robotników, zwrócono uwagę na grupowanie się wojsk radzieckich wokół Polski epelując do rządów wszystkich państw oraz ONZ, by zapobiegły wtargnięciu obcych wojsk do Polski.

Z kolei dwa lata temu utworzono w Paryżu z inicjatywy Rosjan Międzynarodówkę Oporu. Skupia ona szereg organizacji, ugrupowań, partii politycznych oraz oddziałów partyzanckich walczących w swoich krajach z reżymami komunistycznymi. Międzynarodówce przewodniczy W.Bukowski, a poparcia udzieliło jej już w chwili powstania wielu wybitnych zachodnich intelektualistów.

Charakteryzując działalność ruchu w obronie praw człowieka wspomnieć trzeba koniecznie o dwu wydawnictwach periodycznych mających na celu dokumentowanie wszystkich przypadków naruszenia praw człowieka w ZSRR oraz reakcji obrońców praw człowieka na te fakty. Są to: "Kronika wyderzeń niezących" ukazująca się, począwszy od numeru 28 /1974 r./ w USA /pierwszy numer ukazał się w samizdacie 30.IV.1968 r./ oraz "Kronika obrony praw człowieka w ZSRR" wydawana przez Czalidze w USA. Wymienić należy ponadto zbiór dokumentów Inicjatywnej Grupy w obronie praw człowieka w ZSRR.

Olbrzymią rolę w rozpowszechnianiu - nie tylko na Zachodzie - samizdackich tekstów oraz informacji o prześladowaniach w ZSRR odgrywa rosyjska prasa emigracyjna. Wyróżnić należy w tym miejscu kwartalnik "Kontynent" oraz tygodnik "Russkaja Mysl", gdyż te właśnie pisma w sporej ilości przemycone są do Związku Radzieckiego.

Obok dysydenckiego ruchu intelektualistów, literatów, artystów istnieje w ZSRR - chociaż na skalę bardzo jeszcze skromną - ruch związkowy z natury swej robotniczy. Mowa tu oczywiście nie o związkach zawodowych oficjalnych, faszadowych, lecz o niezależnych, wolnych.

Wolne związki zawodowe założył W.Klebanow. 25.XI.1977 roku miała miejsce konferencja prasowa dla dziennikarzy zachodnich, na której odczytano list otwarty 36 w sprawie wolnego ruchu związkowego. Nieco później powstała grupa Skwirskiego, a w roku 1978 Wolne Ogólnozwiąz¹owe Stowarzyszenie Ludzi Pracy /SMOT/, którego założycielami byli W.Bo-risow i W.Grinberg. Jak wynika z wywiadu udzielonego przez Borisowa /wydalony z ZSRR/ czasopismu francuskiemu "l'Alternative", robotnicy prawie w ogóle nie interesowali się ruchem demokratycznym w obronie praw człowieka. Według Borisowa "poziom ich świadomości odnośnie owych spraw był względnie niski. Robotnicy nie znają swych praw, nie mają wręcz żadnego pojęcia o wymowie przepisów, a logika prawna o charakterze czysto formalnym jest im całkowicie obca. Sposób myślenia robotników bliższy jest rzeczywistości, bardziej realistyczny i związany z życiem codziennym". Nie dziwi przeto, że robotnicy wybrali inny system walki o swoje prawa - strajki. Z reguły mają one charakter spontaniczny, ale zdarzają się wcale nierzadko. Oczywiście, na próżno by szukać informacji o nich w oficjalnej prasie, są one skrzętnie ukrywane przed opinią publiczną.

Całkiem niedawno pojawiło się w ZSRR - pod wpływem ruchu ogólnoswiatowego - nieoficjalne ugrupowanie pokojowe. Kilkanaście osób /m.in. Baturin, Radziński/ założyło grupę popierającą wzajemne, oparte na zaufaniu, porozumienie między ZSRR i USA. Głosi ona ideę rozbrojenia inną od oficjalnie propagowanej w prasie, radiu i telewizji, na mityngach, poprzez marsze pokojowe.

Walka o prawa człowieka rozgrywa się także na płaszczyźnie religijnej. Religijność Rosjan uległa wyraźnemu rozbudzeniu, czego dowodem są m.in. liczne, idące w dziesiątki tysięcy, chrzty ludzi dorosłych. Pierwszą próbą /1965/ oficjalnego wystąpienia w obronie wolności wyznania i praktyk religijnych był list młodych księży o prześladowaniach wiernych i biernej postawie Patriarchatu wobec tego faktu.

Jednym z przedstawicieli nielicznego jeszcze postępowego duchowieństwa był ojciec D.Dudko. W roku 1974 w cerkwi Nikolskiej w Moskwie odpowiadał on na pytania wiernych dotyczące spraw wiary, a kazania jego wydane były później w książce "O naszej nadziei". Władze kościelne pozwoliły na świeckiej przenosił Dudkę do innej parafii, a później został on aresztowany. Aresztowani zostali również inni duchowni, wśród nich Jakunin, jeden z najbardziej śmiałych obrońców wolności wyznania, oraz Regelson, a także osoby świeckie: T.Szczepkowa, W.Kapitonczuk. Aresztowany był także Gwrodnikow, który w Leningradzie prowadził dla młodzieży seminarium religijno-filozoficzne.

W obronie aresztowanego o.Dudki wystąpił A.Krasnow-Lewitin, członek Inicjatywnej Grupy Obrony Praw Człowieka w ZSRR. W artykule poświęconym Dudce dowodził niekanoniczności sposobu powoływania biskupów i patriarchy, jaki stosowany jest w ZSRR. Za przynależność do Inicjatywnej Grupy Krasnow-Lewitin został uwięziony i skazany na trzy lata obozu. Po odsiedzeniu wyroku wyjechał na Zachód.

Ostatnio coraz powszechniejszym zjawiskiem są tzw. grupy katakumbowe, uprawiające praktyki religijne w konspiracji, często w prywatnych mieszkaniach. Członkowie tych grup, a w szczególności ich kapłani, skazywani są na wysokie wyroki, lecz na ich miejsce pojawiają się inni. O takiej formie praktyk decyduje nie tylko obawa przed oficjalnym chodzeniem do cerkwi, ale także - a może przede wszystkim - nieakceptowanie hierarchii kościelnej, której członkowie dość powszechnie uznawani są za przedstawicieli nomenklatury, a najwyżsi dostojnicy - za nieoficjalnych członków Politbiura.

Trzeba wreszcie powiedzieć o coraz aktywniejszych ugrupowaniach wy-

suwających na plan pierwszy walkę narodowo-wyzwoleńczą. Najsilniejsze grupy tego typu działają na Ukrainie, Litwie, w Armenii i Gruzji /miał tam ostatnio miejsce pojedyncze przypadki walki z bronią w ręku/. Zresztą opisane powyżej zjawiska, inicjatywy i trendy pojawiały się i pojawiają - co niezmiernie istotne - na większą bądź mniejszą skalę we wszystkich republikach ZSRR.

Szczególne role w dziejach opozycji rosyjskiej przypadła A. Sacharowowi i A. Sołżenicynowi. Stali się oni symbolami walki o godność ludzką i prawa człowieka, zyskując sławę daleko poza granicami swej ojczyzny.

Polakom na ogół znana jest głośna sylwetka Andrieja Sacharowa - fizyka nuklearnego, członka radzieckiej Akademii Nauk. Jest również szeroko znany fakt, że za uporczywe domaganie się od władz radzieckich przestrzegania podpisanej przez ZSRR Karty Praw Człowieka w 1980 roku Sacharow został zesłany do miasta Gorki. Jednocześnie pozbawiono go przyznanych wcześniej tytułów i nagród, m.in. tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej. Mniej natomiast wiadomo na temat okoliczności, jakie skierowały tego członka społeczeństwa radzieckiego, który doszedł do wysokiej godności akademika, na drogę dysydenta.

W ZSRR, przy ciągłym stosowaniu selekcji negatywnej w awansach zawodowych rzadko zdarza się, by uczciwy człowiek zrobił karierę. Jeszcze rzadziej bywa, by człowiek na stanowisku przechodził na pozycję dysydenta. Dlatego warto przyrzeć się niektórym faktom z biografii Sacharowa, które on sam podał w opublikowanej w 1981 r. autobiografii.

Jako fizyk-teoretyk, ukończywszy studia pod kierunkiem znanego profesora Tamma, w 1950 roku rozpoczyna pracę z zespołem badawczym nad bronią nuklearną. Pracował 18 lat w Instytucie Jądrowym opracowującym nowe modele broni, wchodził w skład ciał, które podejmowały decyzje o doświadczeniach z tą bronią. Do 1953 roku kierownikiem programu badań nuklearnych był sam Beria. Przemysł zbrojeniowy zatrudniał niezliczone ilości więźniów, w dosłownym tego słowa znaczeniu "zniewolonych umysłów". Przy panującym wówczas w ZSRR głodzie i ogólnej nędzy budżet państwa nastawiony był głównie na cele zbrojeniowe. Kierownictwo przemysłu zbrojeniowego Sacharow teraz ocenia jako "pozbawione zasad moralnych".

Po śmierci Stalina i pamiętnym XX zjeździe KPZR A. Sacharow, zdający sobie sprawę ze skutków polityki zbrojeniowej ZSRR, pisze pierwsze memorandum do Chruszczowa w sprawie wstrzymania próby jądrowej w 1958 r. Na spotkaniu z naukowcami w 1961 roku, którego celem było podjęcie decyzji o szeregu prób nuklearnych w kontekście umocnienia pozycji ZSRR w Niemczech Wschodnich, Sacharow protestuje, ale nie jest to protest otwarty. Protestuje pisemnie - na karteczce przesłanej podczas konferencji Chruszczowowi. Kartka ta nie została publicznie odczytana.

Ze pewien sukces w dziedzinie zmniejszenia szkodliwości prób nuklearnych A. Sacharow poczytuje sobie pomysł, jaki podsunął w 1962 roku ministrowi do spraw energii atomowej. Dotyczył on zawarcia między ZSRR i USA układu o zakazie prób jądrowych na lądzie, na morzu i w powietrzu. Próby takie miały być wykonywane wyłącznie pod ziemią.

Duże znaczenie miał dla Sacharowa jako przyszłego dysydenta skutek obrony genetyki jako nauki, którą podjął na forum AN ZSRR. Zaraz po tym w ostry sposób zaatakowano akademika w prasie radzieckiej. Jednocześnie dzięki tej obronie zyskał sobie zwolenników wśród biologów /m.in. Żożesa Miedwiediewa/. To pociągnęło za sobą związane z Sacharowem z grupą tzw. "wolnomysłicieli" i współudział w napisaniu listu do XXII Zjazdu w sprawie kultu Stalina i o odpowiedzialności osób o innych przekonaniach. Później Sacharow był zmuszony do pisania protestów w sprawie aresztowania kolegów - członków tej grupy /A. Ginzburga, J. Gałanskowa, Dobrowolskiego/. Pisał protesty również w sprawie wielu

innych aresztowanych za przekonania i systematycznie, niekiedy z narażeniem zdrowia, starał się przedrzeć na wszystkie procesy polityczne. Z fizyka atomowego przerodził się w rzecznika spraw społecznych, jak sam o sobie mawiał.

Pod wpływem wydarzeń Praskiej Wiosny napisał książkę "Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej". Był to pierwszy "samizdat" w życiu Sacharowa i jedna z pierwszych wydań na Zachodzie książek napisanych przez obywatela ZSRR zajmującego dość eksponowane stanowisko. Rozgłos spowodowany rozpowszechnieniem tej książki pociągnął za sobą natychmiastowe zwolnienie jej autora z Instytutu Badań Jądrowych.

Dziś książkę swą Sacharow ocenia krytycznie. Podtrzymuje tylko jedną ideę w niej zawartą: jest to myśl o konieczności zbliżenia systemu kapitalistycznego i socjalistycznego, demokratyzacji, rozbrojenia i postępu społecznego w obliczu możliwej zagłady ludzkości. By jednak możliwa była owa demokratyzacja, należy walczyć w obronie więźniów politycznych i w obronie wolności przekonań. Tym dwóm sprawom poświęca ostatnio najwięcej energii. Twierdzi, że stosunki panujące obecnie w ZSRR /wewnętrzna i zewnętrzna niewola, wszechwładne panowanie państwa nad wszystkimi dziedzinami życia, nieudolność gospodarcza/ są pozostałością czasów stalinowskich i powodują upowszechnienie postawy konsumpcyjnej, egoizmu, alkoholizmu i przestępczość. Za pozytywny objaw buntu przeciwko rozkładającej się wewnętrznie oficjalnej ideologii uważa Sacharow ruchy religijne i narodowe, przy tym te ostatnie, szczególnie wśród Rosjan, przegradają się, według niego, w niebezpieczny szowinizm i antysemityzm.

Ostatnio niepokoi Sacharowa myśl o nie wykorzystaniu przez Zachód smutnych doświadczeń społeczeństwa radzieckiego i myśl o sposobie wydobycia tego społeczeństwa "z ślepej uliczki duchowej martwoty". Sacharow twierdzi, że właśnie owa duchowa martwota zamyka drogę do rozwoju kultury i gospodarki. Za najważniejszą metodę prowadzącą do jakichś pozytywnych rozwiązań w ramach warunków istniejących w ZSRR uważa bezwzględne poszanowanie prawa i moralności, obronę praw i ideałów ludzkich. Jest przeciwny dążeniom do zmian politycznych, które, jego zdaniem, doprowadziłyby do gwałtów i przemocy. Obrona praw człowieka jest sprawą pierwszą i najważniejszą. Dlatego też w 1970 roku wraz z Czaidze i Twerdochlebem założył wspomniany wyżej Komitet Obrony Praw Człowieka. W ramach tej organizacji ogłosił szereg apelów o uwolnienie więźniów politycznych oraz memorandum - program pozytywnych reform społecznych w ZSRR, a także list w sprawie prawa do emigracji i powrotu do kraju.

Po udzieleniu szwedzkiemu dziennikarzowi wywiadu, w którym szczególnie nie spodobało się władzom radzieckim sformułowanie, że w kraju panuje "państwowy kapitalizm z monopolem partyjno-administracyjnym", nasiliły się represje w stosunku do rodziny i przyjaciół Sacharowa, a w styczniu 1980 roku bez procesu zesłano "winowajcę" na prowincję, do Gorkiego, gdzie trzymany jest pod specjalnym nadzorem.

Pomimo pięcioletniej izolacji i nieustannej brutalnej presji władz, Sacharow nie zrezygnował z walki, a jego głos - głos sumienia świata - dociera za żelazną kurtynę. Od dłuższego już czasu Sacharow bezskutecznie walczy o zezwolenie na wyjazd za granicę w celach leczniczych dla ciężko chorej żony, Eleny Bonner. Stan zdrowia Państwa Sacharow jest poważny i oboje wymagają specjalistycznej opieki lekarskiej, czego im władze bynajmniej nie zapewniają. Wręcz przeciwnie - można z całą stanowczością stwierdzić, że zesłanie do Gorkiego jest wyrokiem pozwalnym śmierci, jaki na Państwo Sacharow wydały władze radzieckie.

Wprawdzie niedawno zezwolono Sacharowowi na pierwszą od kilku lat rozmowę telefoniczną z rodziną na Zachodzie, a na początku listopada obiecano wypuścić Elenę Bonner na Zachód, gdzie ma się poddać poważnej operacji, lecz jak dotąd Pani Sacharow nadal pozostaje na zesłaniu.

Urodzony w 1918 roku Sołżenicyn młodość przeżywał w latach trzydziestych. Był typowym "dzieciakiem wieku" - otrzymał "normalne" wykształcenie, czytał klasyków rewolucji i utożsamiał się z nimi. Ukończył wydział fizyczno-matematyczny Uniwersytetu Rostowskiego. Studia w Moskiewskim Instytucie Filozofii, Literatury i Historii przerwała mu wojna. Lato 1938 roku, gdy fala terroru stalinowskiego osiągnęła apogeum, nie nie rozumiejący Sołżenicyn spędził na wycieczkach rowerowych po Krymie i Ukrainie. Powołany w 1941 roku do wojska kończy szkołę oficerską i rozpoczyna czynną służbę w stopniu lejtnanta. W 1945 roku za "nieprawomysłne" opinie wyrażone w liście do kolegi frontowego zostaje aresztowany i przewieziony z Prus Wschodnich na Łubiankę. Wyrok brzmiał: 8 lat łagru i wieczne zesłanie. Pobyt w pierwszym łagrze, w cegielni w Nowym Jeruzale pod Moskwą trwał zaledwie trzy tygodnie. Kolejny etap to dziesięciomiesięczny pobyt w łagrze na Wielkiej Kałuskiej w Moskwie - opisał go w sztuce "Jeleń i szałasówka" /1954 rok/. Okres 1947-50 spędza w szaraszce - obozie pracy dla uczonych i specjalistów - opisie to później w powieści "Krag pierwszy". Kolejne lata spędza w łagrze na wschodzie w Ekilastuzie. "Jeden dzień Iwana Denisowicza" opowiada właśnie o tym okresie jego życia. Po 1953 roku udaje się na zesłanie do Kok-tereku. W 1954 roku przebywa w szpitalu w Taszkiencie - jest chory na raka. Czytelnicy "Oddziału chorych na raka" domyślą się zapewne, dlaczego powieść ta wypadła tak przekonująco.

W 1962 roku z przyzwoleniem Chruszczowa publikuje w "Nowym Mirze" "Jeden dzień Iwana Denisowicza". Lata 1965-1969 to okres, kiedy po brutalnej kampanii, w której wiodła prym "Literaturnaja Gazieta", władze starają się usunąć Sołżenicyna ze świadomości czytelników. Nie na długo jednak, bowiem w 1970 roku otrzymuje on Nagrodę Nobla, przyjąć ją jednak może dopiero po przymusowej emigracji w 1974 roku.

Sołżenicyn jest autorem "Archipelagu GUŁ-ag", dzieła przełomowego, które otworzyło oczy Zachodowi na to, co działo się w Rosji za Stalina i co dzieje się obecnie. Napisał ponadto wspomnienia "Łbem o mur", w których daje ciekawy, acz subiektywny obraz stosunków łączących go z Twardowskim i redakcją "Nowego Miru", opisuje perypetie związane z otrzymaniem Nagrody Nobla.

Sołżenicyn jest artystą dużego formatu - odkładał przeszłość. Jak wielu Rosjan jest jednak złym filozofem, niepoprawnym utopistą. Po ukazaniu się jego prac publicystycznych interpretatorzy wskazali na związki pisarza ze słowianofilstwem, a nawet ze Spenglerem, Bierdiajewem czy Ortega. Najważniejsze jego artykuły to odpowiedź na traktat Sacharowa, szkic o inteligencji rosyjskiej, artykuł o zadośćuczynieniu. Wszystkie one weszły do słowianofilskiego zbioru "Spod grud". Ich głośne tezy to obarczenie inteligencji winą za krwawą rewolucję bolszewicką, pochwała władzy autokratycznej. Osobna sprawa to zadośćuczynienie, pokuta narodów przed narodami. Tylko to, twierdzi Sołżenicyn, ochroni świat od widma zagłady. Wyznanie i przebaczenie win, położenie kresu odwiecznym waśniom /także polsko-rosyjskim/ to jedyna - jego zdaniem - szansa ocalenia ludzkości.

"List do przywódców Związku Radzieckiego" porusza inne zagadnienia. Stawia pytanie o sens i sposób istnienia Rosji, dając na nie utopijną odpowiedź. Porzucenie martwej ideologii marksistowskiej, wycofanie się na północny wschód, troska o środowisko naturalne, rezygnacja z kurteli nad Europą Wschodnią i popierania terrorystów na całym świecie - oto główne zadania wyznaczone przywódcom radzieckim, jeśli chcą oni uchronić Rosję przed niechybną agresją Chińską. Racjonalną krytykę tego listu przeprowadził Sacharow.

8.VI.1978 roku na Uniwersytecie Harwardzkim Sołżenicyn wygłasza przemówienie "Zmierzch odwagi". Kultura Zachodu - mówi - sięga chorymi korzeniami do humanizmu odrodzenia, humanizmu racjonalistycznego, który głosi "niezależność człowieka od wszystkich sił stojących ponad nim". "Świadomość humanistyczna ogłosiła się naszym przewodnikiem, za-

przeczyła istnieniu zła we wnętrzu człowieka, nie przyzależała mu żadnych zadań do spełnienia poza zdobywaniem szczęścia na ziemi, stawiając u podstaw cywilizacji współczesnego Zachodu niebezpieczną tendencję do bicia pokłonów przed człowiekiem i jego potrzebami materialnymi". Zachód gnieje, dlatego że żyje w formułach prawnych, ugina się przed totalizmem komunistycznym /haniebne zachowanie kultury Zachodu w Helsinkach, Belgradzie, Indochinach/. Wielką szkodę kulturze zachodniej wyrządza nieograniczona wolność prasy. W Rosji cierpienie wykuło silniejsze charaktery - "Życie skomplikowane, zagrożone śmiercią, przetrzymujące, wykuło charaktery silniejsze, głębsze, bardziej interesujące niż życie w reglamentowanym dobrobycie na Zachodzie".

Błyskotliwą krytyką tego przemówienia ogłosił A. Besançon: "Bliskość w ciemności obory, mieszanie się oddechów, czułość wylewna, niekończące się zwłernienia - oto jak rozumie się w Rosji człowieczeństwo. Sprawa to, że życie rosyjskie, nawet w obozie, wydaje się w końcu dostarczać więcej przyjemności niż amerykańskie mieszczańskie przedmieście".

Obecnie Sołżenicyn przebywa koło Cavendish w stanie Vermont w USA. Pracuje nad wielotomowym dziełem "Czerwone koło", którego pierwszą część, "Sierpień 1914", opublikowana została wcześniej. Sołżenicyn współpracuje również z prawosławno-nacjonalistycznym czasopiśmie "Wiernik Studiienczeskowo Christianskowo Dwiżenija".

Poparł kandydaturę Wałęsy do Pokojowej Nagrody Nobla.

A. Sołżenicyn to nie jedyny dysydent rosyjski głoszący idee kontrowersyjne. Istnieją wśród opozycjonistów odłamy, których ideologie, podobne jeśli idzie o stosunek do państwa komunistycznego, różnią się swoim programem pozytywnym. Opublikowany w 1974 roku w Paryżu a krążący wcześniej w samizdacie zbiór artykułów "Spod grud" jest manifestem grupy nazywanej opozycją narodowo-chrześcijańską, a niekiedy - chyba przesadnie - prawicą dysydencką. Artykuły Szafarewicz, Sołżenicyna, Agurskiego, Borysowa, Barabanowa, Korsakowa łączą jedno - pesymistyczna wizja radzieckiej komunistycznej rzeczywistości z jednej strony, a z drugiej głęboka wiara w możliwość religijnego odrodzenia się, w którym niepoślednią rolę odegra prawosławny lud. Autorzy zbioru piszą o wszystkim: o systemach politycznych /Szafarewicz - jego pesymistyczna historia socjalizmu jako idei i jako państwa - to najciekawszy chyba artykuł zbioru/, systemach gospodarczych przyszłej Rosji i świata /Agurski - "Współczesne społeczno-ekonomiczne systemy i ich perspektywy"/, cerkwi /Barabanow/. Jak słusznie zauważył A. Drawicz, artykuły napisane są tak, jakby wcześniej w Rosji i w Europie nic na ten temat się nie pisało. Niekiedy obskuranckie /Korsakow - "Rosyjskie losy"/, czasem nacjonalistyczne /Szafarewicz - "Izolacja czy zbliżenie"/, graniczące z naiwnością /Agurski/ stanowią jednak ciekawy obraz myśli tej części opozycji radzieckiej.

Warto wyróżnić trzy artykuły Sołżenicyna, które weszły do tego zbioru: "Gdy zwracają oddech i świadomość", "Inteligentstwo" /ros. "Inteligentszczina"/, "Skrucha i samoograniczenie". Główne ich tezy to związana nierozdzielnie z Sołżenicynem krytyka liberalnej inteligencji rosyjskiej końca XIX wieku, nawoływanie do skruchy i zadośćuczynienia.

Zbiór wywołał szereg polemik z różnych stron, m.in. z kręgów opozycji lewicowej /Roy Miedwiediew/ a także w kręgach współczesnych okcydentalistów.

Bez wątpliwości za reprezentanta prawicy dysydenckiej uznać można G. Szymanowa. Jak słusznie napisał A. Janow: "już samo istnienie Szymanowa jako publicysty politycznego jest wyrazem kryzysu duchowego, który przeżywa dziś Rosja". Szymanow wyznaje pogląd, że demaskatorska funkcja ruchu dysydenckiego w ZSRR już się przeżyła, dlatego głosi on koncepcję pozytywną. Pisz on: "Zarówno jawny kryzys komunistycznej utopii, którego nie sposób w nieskończoność przemilczać i z którego trzeba jakoś z godnością wybrnąć, jak i nicość zachodnich dróg, które nie potrafią sobie zjednać niczyjej sympatii: nadciągający kryzys przemysłowo-ekologiczny, który narzuca konieczność gorączkowego poszukiwania drogi wiodącej do odmiennej cywilizacji, zagrożenie nuklearne ze

strony Chin, wewnętrzne procesy zmieszczania i degradacji moralnej i duchowej, którym trzeba się przeciwstawić nie w słowach lecz poważnie /.../ oto wszystko to /.../ co w obliczu katastrofy państwa - powinno na władzę radziecką wywrzeć nacisk w kierunku zmian - początkowo częściowych i połowicznych a następnie zasadniczych". Tak więc zdaniem Szymanowa, który boleje nad tym, że "Rosjanami gardzą wszyscy" i który chce "ocalić naród rosyjski", "władza radziecka potrafi zerwać się zgniłej demokracji zachodniej" i zmobilizować naród rosyjski do nowego historycznego wysiłku. Koncepcja Szymanowa jest obłądana - władza radziecka, według niego, stanowiła i nadal stanowi narzędzie Boże dla zbudowania nowego chrześcijańskiego świata. Nie jest zaś oczywiście jej celem zbudowanie komunizmu. Władza radziecka musi przyjąć prawosławie i w ten sposób uratuje zmurszały świat, którego Zachód nie jest w stanie ocalić. Jej celem jest budowa innej cywilizacji, wielkie przeobrażenie świata. Przeszkadzają temu, zdaniem Szymanowa, kosmopolityczni dysydenci, którzy przyjeźli z Zachodu manierę występowania przeciwko własnemu państwu. To oni próbują odwieść naród od jego historycznego przeznaczenia. Szymanow atakuje Sacharowa, wszystkich inteligentów żydowskich; Sołżenicyna natomiast uważa za pospolitego liberała pozującego na patriotę. Stworzył on koncepcję, która jest mieszaniną prawosławia i leninizmu. Uważa, że państwo powinno posiadać jedną ideologię a myślenie w sposób odmienny nie może mieć miejsca. Szymanow głosi więc totalitarne w swej naturze dławienie odmiennego myślenia. Propaguje totalitarne państwo i niewolnictwo. Jego koncepcja to najwyraźniej totalitarno-nacjonalistyczna utopia. Rosjanie to naród wybrany, obarczony misją. Oczywiście mowy być nie może o wystąpieniu innych narodów z ZSRR, jest to bowiem organizm mityczny.

Doktryna, jaką głosi Szymanow, z gruntu nacjonalistyczna i imperia-listyczna, stanowi margines w rosyjskim ruchu dysydenckim. Sam Szymanow nie jest wszakże wyjątkiem. Prawica dysydencka posiada własne nielegalne pismo - "Almanach Moskiewski" - redagowane przez L.Borodina. W jednym z numerów tego pisma można było przeczytać: "Punkt widzenia G.Szymanowa na niektóre problemy narodu i religii jest dziś nadal popularny w środowisku myślącej kategoriami narodowymi inteligencji rosyjskiej".

Inną formę nacjonalizmu reprezentuje skazany na wieloletnie pobyty w więzieniach W.Osipow, współredaktor pism "Feniks", "Feniks 66", "Ziemia". Można ją określić jako odmianę nacjonalizmu antysowieckiego. W jednym ze swych artykułów, zatytułowanym "Trzy postawy wobec ojczyzny" występuje przeciwko tym, którzy twierdzą, że wszystkiemu winien jest w ZSRR sam naród, gdyż to on bowiem dopuścił do obecnej sytuacji. Osipow napisał: "Jeśli już mówić o winie, winien jest nie naród, ale jego intelektualna elita, która w pogoni za cudzoziemską mądrością zdradziła ojczyznę. Import rozumu". Osipow pragnie wierzyć w naiwną utopię: "Naród odżyje. Ojczyzna zakwitnie". Chciałby, by była: "Przepiękna, hojna, pełna miłości do swoich i obcych. Wolna, nikomu nie podobna. Nie podatna na eksperymenty przybyszów". A więc trzeba ją bronić przed tym co obce.

W niejednorodnym politycznie i ideologicznie nurcie opozycyjnym wyróżnić należy także niejednorodną opozycję lewicową, domagającą się zasadniczej i daleko idącej demokratyzacji stosunków społecznych i politycznych. Liczy ona na twórczy rozwój teorii socjalizmu. Do ruchu tego należą tzw. "partyjni demokraci", których czołowym przedstawicielem jest Roy Miedwiediew, autor "Książki o demokracji socjalistycznej". Ruch ten skupia członków partii, komunistów z przekonania, którzy uważają, że niezbędna jest demokratyzacja systemu i społeczeństwa.

Do opozycji lewicowej należy również grupa skupiona wokół pisma "Siejatiel", rekrutująca się z kręgów inteligencji technicznej i naukowców. Członkowie tej grupy traktują ustrój istniejący w ZSRR jako niesocjalistyczny, jako formę kapitalizmu państwowego. Określają go także mianem administracyjnego kapitalizmu państwowego. Postęp, zda-

niem opozycji lewicowej, stanie się możliwy dzięki wprowadzeniu systemu wielopartyjnego, wprowadzeniu własności grupowej lub kolektywnej. Jeden ze zwolenników opozycji lewicowej, przebywający obecnie na Zachodzie, W. Bielecowski, swej książce poświęconej temu nurtowi dał podtytuł: "Ludzie syntezy". Jak pisze B. Lewicki, ich "światopogląd jest niejako syntezą wartości i doświadczeń reprezentowanych przez poprzednie generacje oraz biurokratycznego systemu władzy z jednej strony i nowych współczesnych wymogów całej ludzkości z drugiej".

Znający dobrze ZSRR sowietolog holenderski K. van het Reeve, sekretarz fundacji im. A. Hercena w Amsterdamie, jest autorem książki "Rosja nieoficjalna" /1974/. Wśród Rosjan, którzy w jakiś sposób zainteresowani są sprawami publicznymi, wyróżnił trzy grupy:

1. Opozycja, dysydenci, kilka tysięcy ludzi, którzy faktycznie walczą z reżimem.

2. Ich zwolennicy, sympatycy, potencjalni następcy. Tysiące, które czytają samizdat i solidaryzują się z opozycją. Baza, z której opozycja uzupełnia swe szeregi.

3. Ci, którzy nie sprzyjają reżimowi, ale nie są także zwolennikami opozycji.

Warto przytoczyć tu jeszcze wypowiedź Amalrika: "W szerokim sensie tego słowa do Ruchu Demokratycznego można zaliczyć wszystkich - niezależnie od ich metod i celów finalnych - którzy domagają się demokratyzacji istniejącego w ZSRR reżimu, poszerzenia praw społeczeństwa i ograniczenia praw władzy /.../. W wąskim sensie do ruchu należą ci, którzy sami się uważają i nazywają uczestnikami ruchu demokratycznego".

Pozostaje jeszcze odpowiedzieć na pytanie: dlaczego poza małą garstką dysydentów otwarcie "nieuczestniczących w kłamstwie", nikt inny się nie buntuje? Dlaczego, skoro jest tak źle, nie ma silnego oporu?

Otóż odpowiedź zawarta jest w samym pytaniu. Jeżeli jest tak źle i tak okrutnie karany jest najmniejszy przejaw oporu, to i próg strachu jest bardzo wysoki /o wiele wyższy niż np. w Polsce/.

Posłużmy się jeszcze raz przykładami obrazującymi obecną bezmiar represji:

- Irina Ratuszynskaja - poetka rosyjska z Kijowa, 31 lat, odsiaduje 3 rok wyroku: 7 lat łagru i 5 lat zesłania - wyłącznie za publikację swoich wierszy lirycznych na Zachodzie /7 + 5 to najwyższy wymiar kary dla pierwszy raz karanych za "antysowiecką agitację i propagandę" - art. 70 kk. Dla drugi raz karanych /"recydywiści"/ górna granica wynosi już 10 + 5 lat/.

- W ubiegłym roku w zonie reżimu specjalnego łagrów permskich zmarło trzech więźniów politycznych, członków Ukraińskiej Grupy Helsińskiej: Ołeksa Tychij /przed ostatnim wyrokiem odsiedział 16 lat w latach 50-60-tych/; 36-letni Walerij Marczenko /odsiedział 6 lat w latach 70-tych/, zmarł z powodu niewydolności nerek /dopiero tydzień przed śmiercią przewieziono go do szpitala więziennego/; Jurij Litwinow, były więzień obozów stalinowskich - popełnił samobójstwo.

- Z tym samym wyrokiem /10 + 5/ siedzą: prawnik ze Lwowa Łewko Łukjanenko; robotnik rosyjski, pisarz, autor pierwszej książki o łagrach postalinowskich Anatolij Marczenko; Estończyk Mart Niklus; Litwin Wiktor Petkus i wielu innych.

- W więzieniu psychiatrycznym w mieście Błagowieszczeńsk-na-Amurze /Daleki Wschód/ siedzi do dzisiaj robotnik Nikołaj Jerszow, aresztowany w roku 1967 /1/ za próbę zorganizowania strajku.

- Niedawno zmarł w szpitalu obozowym rosyjski poeta Walentin Sokolow /Zeka/.

- 5.IX.85 rozeszła się wiadomość o śmierci w obozie nr 36/I w permskim rejonie jednego z największych współczesnych poetów ukraińskich.

Wasyła Stusa. W latach 70-tych skazano go na 5 lat łagrów i 3 lata zesłania na Magadan /w obozie przeszedł ciężką operację resekcji żołądka/. Aresztowano go ponownie w maju 80 r. i skazano ze udział w Ukraińskiej Grupie Helsińskiej na 10 lat łagrów o surowym reżymie i 5 lat zesłania. Zmarł, a właściwie - został zamordowany - w 10 rocznicę podpisania umowy w Helsinkach.

Niezadowolone jest w ZSRR zjawiskiem powszechnym. Bo jak ludzie mogą być zadowoleni, skoro w sklepach można kupić jedynie makaron i konserwy z najgorszej ryby, a w większości miast obowiązują kartki - ostatnio wprowadzono nawet kartki w Tibilisi, stolicy najbogatszej republiki /po 600 g mięsa na miesiąc/ - po wszystko trzeba stać w kolejkach... Za władzą nikt nie przepada, nie mówi się nawet o niej "władza", czy "rząd", tylko "oni". "Ale - jak mówi poetka Natalia Gorbaniewska - żeby wyrazić czynem swoje niezadowolone, trzeba przekroczyć ten niezmiennie wysoki próg strachu". Wyznacza go nie tylko bezmiar obecnych represji, ale również pamięć historyczna, która żyje nawet wśród pokoleń urodzonych po Stalinie. Wyznacza go wreszcie swoisty determinizm, pojmowany często jako rodzaj rosyjskiego fatalizmu.

"Ci, co przekroczyli próg strachu - mówi N. Gorbaniewska - jednocześnie odrzucili ten determinizm, odrodzili świadomość odpowiedzialności osobistej, postawili na godność i wolność wewnętrzną jednostki. Nie trzeba się dziwić, że są tak małą garstką, trzeba się dziwić, że nie są jeszcze mniejszą, że w ogóle istnieją na tej "wypalonej ziemi".

SOWIEOLOG

CZAS BYŁ POSEPNY O TWÓRCZOŚCI JÓZEFA MACKIEWICZA

Całe jego życie było paradoksem. Jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy XX wieku urodził się w Petersburgu, umarł w Monachium, pochowany został w Londynie, a w kraju jest niemal niezany. Świat jego rodziców znajdował się "na osi Petersburg - Wiedeń - Nicea", był światem podróży bez wiz, obojętności wobec wszelkich możliwych ideologii, moralności podporządkowanej zasadzie "żyć i dać żyć innym"; był łagodny, spokojny i bezkrawy. "Ten świat został zburzony". Urodzonemu w 1902 r. Józefowi Mackiewiczowi udało się przeżyć w nim dzieciństwo. Potem przyszły burze. A twórczość syna ludzi podróżujących bez wiz z Rosji na Lazurowe Wybrzeże miała być opisywaniem burz od środka. Więcej: opisywaniem oka cyklonu.

Na pozór połączenie takiej tematyki z wielkim talentem i wielką pasją powinno gwarantować olśniewające sukcesy. Tak nie było. Pisarstwo Mackiewicza stało się naprawdę znane jedynie w środowisku powojennej polskiej emigracji, gdzie zresztą wywoływało stale obok zachwytu - protesty, obok podziwu - konsternację. Par excellence polityczne, tendencyjne, agitatorskie, drastyczne, utrzymywane w najwyższej temperaturze emocjonalnej, nigdy nie przekazywało poglądów "obowiązujących", nigdy nie liczyło się z koniunkturą, mogącą takie jak jego książki otoczyć największym rozgłosem lub skazać je na śmierć przez przemilczenie. A tak bardzo chciał, by książki te mogły wstrząsnąć światem! Jest to widoczne zwłaszcza w najlepszej chyba, "Kontrze": tak przejmującej, że - wydawałoby się - po jej opublikowaniu nic już nie powinno pozostać takie jak przedtem. Poruszone opinie publiczne krajów, w których zostałaby wydana, powinny wywrzeć potężny wpływ na politykę rządów, które to rządy z kolei - ba, wszystko to jest dziecinną mrzonką. Pomijając przesadną wiarę w możliwość literatury, o-

skarzenie Wielkiej Brytanii o zbrodnię przeciw ludzkości nie było tematem łatwym do przyjęcia. Tymczasem Mackiewicz jakby się starał, żeby żadne ugrupowanie polityczne nie mogło tych jego, tak przesyconych polityką, książek uznać za "swoje". Jeżeli już napisał powieść o wojnie 1920 r. /"Lewa wolna"/, musiał zaatakować w niej Piłsudskiego. Jeżeli /w "Nie trzeba głośno mówić"/ odmalował wspaniały, barwny obraz żywotności Warszawy podczas niemieckiej okupacji, nie mógł nie skomentować gorzko tej paskarskiej prosperity - rewelacjami o przeciwku pieniędzy, przeznaczonych na finansowanie konspiracji. Jeżeli opisywał mrozące krew w żyłach "pacyfikację" ukraińskie czy litewskie, natychmiast któryś z bohaterów dodawał kosztownie, że i Polacy zrobili w tej dziedzinie niejedno. Jego wizja świata nie jest wizją polityka, lecz moralisty: dlatego właśnie bijąca od niej groza jest aż tak wielka.

Ale jak właściwie pisał Józef Mackiewicz? Studiując w Wilnie jednocześnie filozofię i nauki przyrodnicze, zaskoptywał z zachwytem tezę jednego z profesorów, że tylko nauki porównawcze są naukami prawdziwymi. W pewien sposób przeniósł tę tezę do beletrystyki. Pisał książki, w których przeplatają się stale dwa wątki: fab larny i dokumentalny. Losom bohaterów towarzyszy wykład historii: tła tych losów i ich niewidzialnego motoru. Nic nowego zresztą: szkoła Wiktora Hugo. A jednak ten sposób pisania nieraz spotykał się z krytyką. Nawet eksponował "tendencję". W książce "Od Gombrowicza do Mackiewicza" krytyk Wit Tarnawski pisał w związku z tą prozą: "Tendencja jest odwiecznym wrogiem powieściowej sztuki". Inni mówili o trudności zrównoważenia tych dwóch elementów: z reguły jeden z nich był mniej od drugiego ciekawy, zakłócając tok akcji, czy to tej fabularnej, czy rozgrywającej się wśród tajników wielkiej historii. Faktem jest jednak, że sposób pisania Mackiewicza był właściwy urodzonemu epikowi: rzadka to cecha wśród dwudziestowiecznych prozaików.

Tematyka częściowo tylko wyrosła z jego biografii. Wilnianin przez najważniejsze lata swego życia, redaktor "Słowa" i "Gazety Codziennej", dał się poznać w okresie międzywojennym /po zapomnianym właściwie zbioru opowiadań/ tomem szkiców o Kresach pt. "Bunt rojstów". Pierwsza jego powieść emigracyjna - przez wielu uważana za najlepszą - wydana w 1955 r. "Droga donikąd" poświęcona była życiu Wilna w pierwszych dwóch latach drugiej wojny światowej. W późniejszej, ale traktowanej jako kontynuacja "Drogi", powieści "Nie trzeba głośno mówić", perspektywa się rozszerza, pojawia się panorama wojny od Moskwy do Berlina, wciąż jednak Kresy są ośrodkiem akcji i punktem wyjścia. Wojna 1920 roku, w której Mackiewicz brał udział jako uczeń 6 klasy gimnazjum, jest tematem "Lewej wolnej" i punktem odniesienia w "Kariernowiczu". Ale już "Kontra" to historia Kozaczyzny, opowiedziana przez 30 lat życia rodziny Kolcowów znad Donu, bohaterem "Sprawy pułkownika Miasojedowa" jest Rosjanin, stracony na stokach Cytadeli. Cała twórczość Mackiewicza jawi się ostatecznie jako wyjście poza sprawę czysto polskie, jako patetyczna opowieść o losach narodów Europy Wschodniej w czasie długiej, niekończącej się burzy. Opowieść przejmująca - może dlatego, że jest dziełem człowieka wstrząśniętego do głębi.

To chyba klucz do tego pisarstwa. Książki Mackiewicza - rozpasane w barwności fabuły, w swobodzie posługiwania się faktami historycznymi - są nade wszystko rozdygotanymi wewnątrz moralitetami. Okrucieństwo niektórych scen jest aż trudne do zniesienia dla czytelnika - ale czuje się, że jeszcze trudniej było je znieść temu, który je opisywał. Bezstronna lektura tych powieści każe po prawdzie odrzucić zarzut "tendencji": polityczna "tendencja" wprowadziłaby jakieś światło, ukazałaby wyjście z labiryntu. U Mackiewicza wyjścia nie ma. Jego wiedza o świecie podzielonym, ale nie raz na zawsze i nie jednoznacznie, była wielka i zbyt ciężka; wydaje się, że nigdy się się spod jej brzemienia nie podźwignął. Wiedza nie tylko o totalitaryz-

mie, ale i o "demokracji pilnującej drutów kolczastych", nie tylko o epoce /choć "Czas był pęsepnym"/, ale i o czymś wiecznym; nie tylko o polityce, ale i o naturze ludzkiej: o objawieniu się natury ludzkiej w polityce i poprzez nią. Oto w "Kontrze" - wśród dziesiątków faktów przerażających, w środku opisu najokrutniejszego bezprawia, poniżenia i zdrady - wagi symbolu nabiera drobny fakt: żołnierz brytyjski podczas rewizji osobistej przeprowadzanej w obozie jenieckim ukradł jednemu z bohaterów wieczne pióro. Nie jemu jednemu; zresztą czymże jest wieczne pióro w obliczu tortur lub śmierci? I nagle zaczyna się chaotyczna opowieść: to samo cenne, złote pióro zostało kiedyś przez bohatera zapomniane w londyńskim metrze. Anglik, który to zauważył, wyskoczył z wagonu, wybiegł za nim aż na ulicę, dogonił go wręczając w tłumie, by oddać mu zgubę. A teraz, nagle - mówi bohater stojącemu obok pułkownikowi - "...gwardzista królewski kradnie mi to samo właśnie wieczne pióro... Mnie, bezbronnemu oficerowi, jeńcowi! /.../ No, niech pan powie, czym pan to tłumaczy? /.../ Co to wytwarza? Czy tylko tak zwane "prawa wojny"? /.../ - Myślę - odpowiedział - że to prawa... Jakby to powiedział: raczej prawa typowo ludzkie".

Mocniej jeszcze wyrażona została ta sama, rozpacзлиwa konstatacja w "Nie trzeba głośno mówić". Rok 1943, masakra Żydów na stacji w Ponorach. Z powodu powstałej przedwcześnie paniki wyjątkowo brutalna, przekraczająca znacznie to, co było w tej dziedzinie dostatecznie ponurą "normą". Przypadkowy świadek wpatruje się w kobietę z córeczką: patrzy, jak ręka padającej szuka w powietrzu rączki dziecka, widzi policjanta ciągnącego matkę za nogę po szynach, gdy dziecko, wyjął, chwytając jej wlokące się po kamieniach włosy, wrzescie - widzi Łotysza, rozwalającego kolbą dziecinną główkę z żalosną kokardą... Widząc to wszystko, przypomina sobie spontaniczny okrzyk innego świadka innej policyjnej akcji: "Bydło!" "Teraz przeszłyja go myśl: "Nie! Ludzie!" I jak dopełnienie tej myśli, z dna zgrozy, późniejszy drobny, łagodny niemal epizodzik: trzynastoletni pastuszek zaczepi bohatera, biorąc go za tajnika, aby mu wydać jedynego człowieka, który - zresztą śmiertelnie ranny - umknął z miejsca mordu. Bez chęci zysku, bez specjalnej emocji, w wyniku pragnienia nie dość silnego, aby miał sam szukać policji ze swoim donosem; ale jeżeli już policjant sam się nawinął... Ludzkie. I wobec tego wszystkiego, czego nie można określić inaczej, niż jako "ludzkie", pryska wszelka nadzieja. Poza słabą, drżącą, przywaloną przez rozpacz myślą o Bogu. "Bóg jeden, który patrzył na pewno, a widział nawet poprzez gęste chmury tego dnia..." Ale i w tej myśli więcej jest bólu niż pociechy.

Więc jednak nie "tendencja". Przesycenie stron książek "polityką" /bo poprzez nią w końcu ludzkie losy dokonują się tak, a nie inaczej - losy wprzężone w cyklon/ nie upraszcza obrazu świata; porządkuje go raczej, tym wyraźniej ujawniając pytanie, na które nie można znaleźć odpowiedzi. Pytanie o głębszą, o podstawową przyczynę tego wszystkiego. Nawet nie o cel.

Jeżeli szukać w przejmującej epice Mackiewicza elementu pozytywnego, znajdzie się go - może - tylko w jednym. Pisał po to, żeby uchronić drogę rzesz ludzkich przez piekło od zapomnienia. I nie tylko od zapomnienia: także od wiedzy obojętnej. Znaczący jest krótki, bezosobowy dialog wieńczący opis strasznej, nie pierwszej i nie ostatniej wojennej zimy, zimy roku 1942, w "Nie trzeba..."; dialog streszczający jakby przesłanie całej twórczości Mackiewicza.

"- Co o niej powie historia?

- Zapewne ześle, jak to w jej zwyczaju.

- Czy zdobędzie się kiedy na uczynienie znaku krzyża świętego:

"W imię lasów, rzek i stepów, przebaczam wam żołnierze"?...

- Nigdy!"

ANNA BOJARSKA

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

TAŃCOWAŁY DWA MICHAŁY

Przeczytałem "operę w trzech aktach" pani Leokadii Wasilewskiej, o "Bułeczce", Redlińskim i "Dolorado". Dowiedziałem się m.in., że m. Redliński naręczoną w Chicago. Że już nigdy w życiu nie podpisze lepszej umowy niż z "Bułeczką". Że Pani Leokadia musiała "wróżyć z fusów", bo Redliński nie chce udzielić jej wywiadu - unika rozmowy, kluczy... W domyśle: "zrozumiałe? Coś ukrywa? Boi się?

Dowiedziałem się także, że konflikt Redlińskiego i Bułeczki jest przedmiotem plotek, stał się sprawą prawie publiczną. A autor "Dolorado" milczy...

Tak, na pewno stał się sprawą publiczną po Pani artykule, Pani Leokadio...

A nie chciał Redliński - wiem to z pierwszej ręki - pisać ni mówić publicznie o prywatnym konflikcie - bo to nieelegancko. Bo nie chciał wpisywać się do historii pieniężnictwa polonijnego. Ani dawać żeru felietonistom w kraju. I jakoś wstyd wjeżdżać z taką prywatną na łamy, gdy obok o Wolności piszą, o "Solidarności", Konspirze, Bohaterstwie... Mieliliśmy - Bułeczka i ja - załatwić nasz spór po cichu, między sobą. Na pięści czy paragrafy - nasza sprawa.

Ale, Bułeczko, godząc się na wywiad dla "Przeglądu Polskiego" i mówiąc to, co powiedziałeś, złamałeś prywatność naszego sporu. Dajesz mi prawo, ba - obowiązek - publicznej odpowiedzi. I, na twoje nieszczęście, Bułeczko, odpowiem. Tym bardziej, że i autorka - "z fusów wróżąc" - podaje wiele informacji istotnie z fusów wyspanych.

Więc do rzeczy.

1. W roku 1974 pojechał Redliński do Krakowa na premierę monodramu wg jego "Konopielki", w adaptacji i wykonaniu aktora, którego nazwisko mi nie mówiło. Tyle, że z "Piwnicy pod Baranami". Publiczności spektakl raczej się podobał. Autorowi nie. Na humor-seks-wulgarność nastawił się adaptator i wykonawca. Liryzmu-dramatyzmu powieści nie pojął, nie przekecał. Wahał się R., podpisać mu zgodę na wystawienie spektaklu, czy nie. Wyluszczył swoje zastrzeżenia. Zasadnicze zresztą. Gdy B. zobowiązał się wprowadzić stosowne zmiany, R. podpisał.

2. Po roku-dwóch - od ludzi, których oku i uchu artystycznemu R. ufał - zaczęły napływać z województw alarmy: Co ten człowiek wyprawia z twoim dzieckiem, autorze! Zabroń mu maltretowania naszej "Konopielki"!

3. Dla niezorientowanych: autor, raz podpisywawszy zgodę /po próbie generalnej, po specjalnym pokazie, czy po premierze/ na daną inscenizację jego utworu, bynajmniej nie pozbawia się ojcostwa na zawsze. Ot teatr musi wznowiać zgodę autora na każdy następny sezon. W ten sposób autor może kontrolować inscenizację przed "przeżyserowaniem", a tak że przed stoczeniem się w chałturę /nazywa się to uczenie "degeneracja artystyczna"/. Zgłasza swoje veto do ZAIKS-u /instytucja reprezentująca interesy autorów w kraju i za granicą/, ten powiadamia teatr - i od tej chwili ewentualne przedstawienia stają się bezprawne. Fakt, że autorzy rzadko /żał im tantum/ korzystają z tego prawa. Poza tym, praktycznie biorąc, ZAIKS potrafi egzekwować autorskie veto tylko w teatrach i większych salach widowiskowych. Kluby, świetlice, biblioteki, szkoły znajdują się poza jego zasięgiem. A już prawie bezradny jest wobec "piratów" za granicą.

4. W roku 1976, może w 77 /dokumenty mam w kraju/ wycofał Redliński w ZAIKS-ie swoje Bułeczce imprimatur. Z przyczyn artystycznych. Zresztą nie jemu jednemu. "Konopielka" wciąż była bestsellerem książkowym

i żerował na niej tabun tzw. adaptatorów i chałturzystów - bo stanowi-
ła sceniczny samograj. Poprosił Redliński w ZAIKS-ie o ochronę powieś-
ci i o nieudzielanie nikomu zgody na jej inscenizowanie.

5. Następne zdarzenie /zderzenie/ z Bułeczka przytrafiło się Redliń-
skiemu w r. 1979 /wiem, bo telefonowałem do W-wy do ZAIKS-u/. Oto Mło-
dzieżowe Centrum Kultury ZMS w Krakowie zwróciło się do R. przez ZAIKS
- w imieniu Teatru "Format" kierowanego przez Bułeczka przy tym Cen-
trum - żeby zgodził się R. na wystawienie "Konopielki" przez tegoż B.
Redliński odmówił. A do Bułeczki wysłał - na adres Centrum ZMS - list,
w którym stanowczo zabronił mu raz na zawsze grać "Konopielkę"; ostrze-
gał też przed postępowaniem sądowym. I...

6. I na parę lat zapomniał, że ktoś taki istnieje. Sztuki Redliń-
skiego wystawiały zawodowe prawdziwe teatry, z dużym powodzeniem i
frekwencją, było ponad 30 premier. Jeździł R. na próby, użerał się z
reżyserami, nie dawał zgody lub ją odbierał. Mało kto aż tak dba o swo-
je utwory; on - dbał. Za poważne to były sprawy, żeby mógł pamiętać o
jakimś tam Bułeczce.

7. Wiosną 84 kuzyn telefonując z Nowego Jorku wspomnieli mu, że
właśnie występuje tam jakiś aktor z monodramem według "Konopielki". Że
grał też "Konopielkę" w roku 1981. I że krąży kasety nagranie tego
spektaklu...

JAK TEN MAŁY ZACZĄŁ KRAŻYĆ ...

8. Pół roku później - niespodziewanie dla samego siebie - znalazł
się Redliński w... Nowym Jorku.

Tyle przedakcji.

9. Było to 30 lipca, w szesnastym dniu pobytu mojego na sławnej
Ziemi Amerykańskiej. Idziemy ci my z kuzynem Witkiem "małym Manhatta-
nem" /tak na Greenpoincie nazywają Manhattan Avenue/, a tu przed skle-
pem Ryska Janolsa kto? co? przed nami wyrasta? Ktoś siwy, siwy-prze-
rzedzony... nieznamy, a jakby trochę... znajomy? I głowę siwołosą
schyla, i jakby przede mną przykłada? "Nie wiem, czy poznajesz... mo-
że pamiętasz... ja kiedyś w Krakowie... monodram... Nazywam się..."
I głos zawiesza, w oczy mi patrzy, czy przypominę.

Błysk: aha, ten aktor... kręcił się koło "Piwnicy pod Baranami"...
pseudonim dziwny miał... zarez... Coś ze sklepu spożywczego... Grusz-
ka? Nie. Lecę wyobraźnią po regałach... Sardynka? Nie. Kiełbaska? Nie
... to coś z pieczywa było... Rogalik? Chlebek? Nie. Zdrobniale - ale
rodzaj żeński. Kromka? Chaika? Mam!

- Bułeczka? - mówię.

- O! - ucieszył się. - Pamiętasz!

W rękę chciał całować... nie pozwoliłem! Poklepałem. Ośmieliłem.
I czekam. Co powie. On czeka, oczkami świdruje: czy wiem, że grał. Czy
mi już powiedział... Czy ja tu dawno, pyta, na jak długo.

- A ty?

Odpowiada... ostrożnie... żeby za dużo nie powiedzieć. Hm, myślę,
co to za sprawę masz, że narażając się na reprimendę za złamanie zaka-
zu drogie mi zastępujesz? Oj, ważna musi być ta sprawa.

- Dwa razy Stany objechałem, z monodramami moimi... - informuje.

- I Kanadę.

- A... co grałeś?

- Oskarżonego -owiada. - "Dworzec w Monachium"... "Colas Breugnon"

... - I urywa. A oczy jego bystre mnie szpilują.

- Szkoda, że "Konopielki" nie grałeś - mówię smutno.

- O, nie! Parę razy zagrałem - pocieszył - ale tutaj, stary, ona
w ogóle nie bierze - zmartwił.

I widzę, już nie przestraszony, nie uziębiony już, ale - wyprostowa-

ny już. Napuszczony już! Już pewny siebie, bo pewny, że nie wiem. A jeśli nawet wiem coś, to niewiele.

- Słuchaj - mówię - ja parę lat temu list do ciebie wysłałem. Otrzymałeś?

- A, ten żeby nie grał... - mruknął ponuro. - Nie, nie otrzymałem! - oznajmił nagle, w oczy mi patrząc bez mrugnienia.

"Aha, takiś ty, bratku..."

- Słuchaj, Edward - wycedził, już inaczej: choć nieduży, przecież jaśkoś z góry. - A gdybyśmy tak pojechali przez Stany i Kanadę... razem?

Zetkało mnie.

- Z "Konopielką"?

- Nno nie... Jakby tu powiedzieć... Gdybyś tak napisał... z myślą o mnie... monodram? Taki pod tutejszą Polonię... mmonodramik... No? Mam też w Meksyku znajomych.

- W Meksyku! - jęknąłem.

- Taaa. W Mechiko Sity...

Ja - dookoła Ameryki? Co? Ja dookoła Ameryki! Coś... ktoś poruszył się we mnie... San Francisco? Vancouver? Montreal? Chicago? Tak, w starym koniu, w mężczyźnie Chłopiec się poruszył. Ten, co kiedyś o podróżach marzył... Pensylwania, Alabama, Teksas, Kalifornia! Nazwy słynne... miasta legendarne... Jakies abstrakcyjne jednak... nieosiągalne... Jak Droga Mleczna, jak planeta Wenus... A ten ci...

- Ty, Edward, pisać umiesz, ja - spektakl zrobić i tournée zorganizować. Dwa razy przecież dokoła...

- Samochodem?

- Nie. Greyhoundem.

- Co to?

- Taki ich pekees. To jak? - spytał, już nie z góry, ale całkiem z wysoka, choć nieduży. - Spotkamy się?

Umówiliśmy się na jutro.

I teraz będzie, jak się poślakomiłem. A nieco dalej, jak mnie Pan Bóg za to pokarał.

10. Spotkaliśmy się pojutrze, 1 sierpnia. U mnie. Jul, współmieszkaniec, w robocie. Wchodzi on.

- Boże! - jęknął. - Taki artysta - i w takiej norze!

A mieszkanie, choć niewielkie, przez Julę - który mnie na pomieszkowanie z sentymentu właśnie do "Konopielki" przygarnął - zadbane. Schludne. Odmalowane. Karpety.

"Nora? - pomyślałem sobie. - To w jakimż pałacu ty mieszkasz!"

A ten cenę swoją podbija... O recenzjach z monodramów mówi, że znakomite... ma wycinki, przyniesie, pokaże. Że Grodzicki w "Życiu Warszawy" - zobaczywszy go w "Ateneum" - nazwał jego "Konopielkę" najlepszym monodramem, jaki widział w życiu. A przecież...

A przecież ja tymczasem, przez dwie doby, zdążyłem ludzi wypytać. I ową amerykańską kasętę z Bułeczkowym nagraniem zdobyć. I, którą z bólu skręcając się, przesłuchiwałem. Trajkocze - tak samo, jak kiedyś w Krakowie. Na jednej strunie. I tak trajkotał po Stanach i Kanadzie? Boże, niech ktoś mnie trzyma, bo ja go zarez za kołnierz i...

Ale Meksyk, Arizona, Nowada, Kanada!

A ten szpanuje.

- Wiesz, widział to Tadzio Łomnicki w "Stodole". Powiedział mi, że..

- Tadzio?

- To nie wiesz, że on z Krakowa startował? Morze wódki my razem... A Kudek to od razu chciał mnie do "Starego".

- Kudek?

- No, Swinarski.

- Swinarskiemu było Konrad.

- My mówiliśmy Kundzio, Kudek. Widział mnie w "Ateneum" Gucio...

Nie rozmawiałem osobiście, ale mówili mi znajomi, że...

- Gucio?
- Holubek, no!

Gucio, Kunder, Tadzio... Ho, ho! Z herosami naszego teatru na "ty" nasz Bułeczka! Kumpel ich, przyjaciel... Pesemka siwe zarzuca od ucha lewego aż na prawe, żeby nie prześwitywało. Bluza szpanerska, na kłacie plakietka "THEATRE" - i coś tam mniejszymi literkami. Orzełek. Znalezek "Solidarności". Adidasy. Łańcuszek na przegubie. I temu podobne bajery na frajery. Oj, kocham ja, uwielbiam takich... palce same mi się zginają, ręce wyciągają ku koźnierzykowi... Już nie za te bajery, ale że mi tak córkę moją - którą sześć lat płodziłem-rodziłem w bólach-mękach dla chałturzystów niewyobrażalnych - że mi moją Konopieleczkę, bez mojej ojcowskiej zgody, włóczy po chałturowiskach - męczy, obraża, kaleczy. Znam takich: w miejscu prestiżowym - W "Ateneum", w "Stodole" - widząc recenzentów - spręży się taki, przejdzie samego siebie, zdegzamin. A potem - dla emerytów, żołnierzy, chłopstwa - w ich klubach, świetlicach, bibliotekach - odwała półtoragodzinny spektakl w trzy kwadranse, opuszczając rozdziały, pędząc do końca: do tysiączka w kopcercie - i do następnej świetlicy. Uch, chałtura! Chałturski świat. Chałturscy rekordziści. Chałturskie dusze. Forsa, forsa, forsa...

- Całą stronę organizacyjną, w tym finansową, na siebie biorę - mówi. - Przychody na pół podzielimy, koszty ci potrączę i te półtora, dwa zostaną ci na pewno. Oddasz kuzynowi dług... bo teraz, na ten miesiąc-dwa pisanie pożyczki ci, nie? I tak to będziesz miał dwa miesiące turystyki amerykańskiej darmo. No jak?

Słucham, jak przez mgłę, jak pijany - choć tylko cołę z lodem pijemy. Zięścić się ma to, o czym tyle myślałem - bo marzyć, że zobaczę, nie śmiałem. Trochę po trzydziście rozpęd straciłem - nie wody szero-ki, ocean, ale studia - mówiłem. W głąb! A nie wszedł, po wierzchu. Trawa, jabłonie, chata, brzezina. Karnawał w Rio, New York, Niagara, Sahara, Rzym? Nie, wykreślił to, Chłopce... Wykreśliłem, i Chłopca - którego każdy, ja, ty, on mamy w sobie, tego, co czytał Mays, Londona, Verne's, który i marynarzem chciał być, i lotnikiem, i kowbojem - po cichu, oschle, okrutnie się pozbyłem. Niechłopacka brutalność świata mi się ukazała. Zgorzkniałem... Sił zabrakło? Odechciało mi się? Pewne możliwości podróżowania przecież miałem...

Miałem - ale i nie miałem. Możliwości były - ale za cenę upokorzeń ił. Wszak młodym wielce obiecującym byłem - wystarczyły deklaracje. A je chorobliwie, jak żrenicy oka niezależności pilnowałem...

I oto szanse: bez niczyjej łaski, prywatnym moim wysiłkiem - bez Departamentu Stanu, bez Wydziału Prozy KC - szmat świata objadę. I to jakiego świata!

Czarodziej się zjawił, który mi planetę Wenus pokaże, Drogą Mleczną przewiezie. Bylebym mu napisał ten monodram... monodramik pod Polonię.

- Ty angielski znasz? - pytam.

- Sześć i pół słowa - odpowiada. - To nieważne. Można znać perfektnie dziesięć języków i siedzieć w domu.

Rzeczywiście. Do Paryża kiedyś i do Niemiec narzeczona siłą mnie zawiozła. Gdyby mi zaproszenia z USA przyjaciele siłą nie wmusili, dokumentów nie załatwili, do samolotu nie załadowali - nigdy bym się w Nowym Jorku nie znalazł. I choć Manhattan oszołomił mnie, z martwoty wskrzesił, podelektryzował - czyż odważyłbym się w świat ruszyć dalej? Nie, na pewno nie.

A czarodziej:

- Zorganizuję ci podróż życia! Po spektaklu rozmowy, przyjęcia, zwierzenia... Ludzie chcą się wygadać. W dwa miesiące więcej się dowiesz o Ameryce niż inni w lat dziesięć. To nie jakieś turystyczne łażenie po muzeach. Pod skórę wejdiesz! Rozumiesz? A po tej podróży znowu napiszesz - i znowu pojedziemy!

Koncepcję wyklada:

- Pierwsza część - monodram. Ja wykonuję. Druga część: dyskusja z tobą. Ale napiszesz tak, żeby tych głabów poruszyło, szarpnęło, wkurzyło. Pomidorem niech ktoś rzuci, albo krzesłem! Tu, stery, skandal jest sukcesem. Napiszesz?

- Boże... - westchnąłem, Chłopiec we mnie westchnął. - Jak ja kiedyś geografię, historię lubiłem...

- Wiesz... - pochylił się, oczy zamgliły mu się wzruszeniem, gra? - Dziesięć najlepszych lat mego życia zawdzięczam tobie. To znaczy "wojny" "Konopielce"... - Nie, nie gra, pomyślałem, za słaby aktor, tak dobrze by nie zagrał, to musi być prawdziwe.

- I Edward, cieszę się - ciągnie - że będę mógł spłacić ci ten dług wdzięczności podróżą. Więc jak? Ile potrzebujesz, żeby napisać? Miesiąc? Dwa?

- Powiedzmy, że półtora - powiedziałem mi się.

- Znaczący... robimy? - wyciągnął dłoń.

Impresario z ciebie, widzę, wybitny. Tylko, że aktor drugo- trzeciorzędny... Że chałtura... Ale:

Georgia, Alabama, Teksas, Arizona...
Utah, Newada, Oregon, Kanada...
Fantastyczne nazwy same w pieśń się układały.

- Robimy! - powiedziałem. I podałem tzw. kapę.

Na wsi mówią: Jak Pan Bóg chce pokarać, to rozum odbiera.

11. Kuzyn Witek, po gasterbeitersku zaharowany kuzyn Witek, powiedział: - Piękna sprawa! Ach, co ja bym dał, żeby tak...

Jul torbę długopisów i flamestrów mi zafundował. - Pisz - powiada - widokówki będziesz mi przysyłał z równoleżników...

Papieru się kupiło - a w Nowym Jorku, gdzie gazetowym, sklepowym papierem zasta się za centy, papier listowy i pisarski antyrozumnie drogi - i...

I niestety, będzie teraz to najnudniejsze. Nudne jak flaki z olejem, ciężkie jak olów w tyłku, przykre jak uwięzienie w czterech ścianach - kiedy za oknem Nowy Jork huczy fascynujący, Ameryka podniecająca, egzotyka kapitalistyczna, fantazja imperialistyczna. Radzę ze trzy rozdzieliki przeskokować... o pisaniu będzie.

Bo pisanie jest nudne jak flaki z olejem. Każdy jakiś list pisał - wiemy, ile tego zbierania się... odkładania... zaczynania... wyrzucania... A czasem ni stąd, ni zowąd szast! prast! i list napisany, pięć, dziesięć stron! I w zawodowym pisaniu podobnie. Też zdarza się, że piszesz łatwo, lekko i z przyjemnością. Że pisząc nawet śmiejesz się sam do siebie. Albo łyżysz w oczach. Jednak, przeważnie - mordęga to. Dobrowolny przymus i dobrowolna męczarnia.

Ja łyżę mam motory pisanie.

Pierwszy to przekonanie, że jeśli ja czegoś tam nie napiszę, to nikt tego właśnie nie napisze, nie urodzi. Bo wpadłem właśnie na pomysły - wynalazek mam! Mniejszy, większy - wynalazisko czy wynalazeczek - ale mam. No to skonstruować...

Druga podnietą: meta. Wyobrażenie mety. Wyobrażenie czytelnika, który czyta. Jak czyta. Trochę jakbym po rynnę wlał i przez okno... podglądał. Albo wyobrażenie premiery i publiczności... emocja, jak to będzie! Nuda, syki, skrzywione gęby... czy elektryczność w sali... śmiech, wzruszenie, oklaski? Klapa - czy szczęście? To jak u maratończyka... Po co męczy się, poci, po co sam siebie samego do przodu biczuje? Czy nie dla mety, dla chwili tej: "Dobiegłem!" Klaszczą, poklepują cię, całują. A jeśli jeszcze rekord udało się ustanowić? Nie olimpijski, nie noblowski - ale choć życiowy... czyż nie szczęście? Czy nie warto biec było - do tej ostatniej kropki, tego kroku ostatniego?

Trzecia dla mnie pokusa pisanie: ludzie. Porozumienie z ludźmi. Liści piszą, telefonują, którzy czytali, widzieli i myślą podobnie. A nawet nie piszą, nie telefonują, ale wiem, że są. Przyjemnie. Dobrze.

Rodzina mi się powiększyła. Rodzina współ-czujących. Na nieprzyjemnym tym świecie.

Pieniądze? Też. Ale co do mnie, nigdy mi się żadna fortuna jakaś nadzwyczajna nie marzyła, nie śniła, wywyższenie pieniężne ponad innych. Pewnie, trzeba zarobić na następne pisanie... na okres treningu i na następny maraton. No i dla tej rodziny rodzanej. Ale mogą to być zwykłe, równe przeciętnego zarabiacza zarobkom pieniądze. To, że jakiś a to! pyszni się przede mną złotówkami czy dolarami - już samo przestało mnie to irytować. Bóg z tobą, matko!

Tym razem, kiedy "Dolorado" zaczynałem, inne światło przyćmiło tamte światła. Inny blask, inna luna, inna zorza:

Meksyk, Arizona, Kalifornia!

Utah, Nevada, Kanada!

To nie Bułeczka - to Chłopiec zagnał Mężczyznę, starego konia zapędził w cztery ściany, od Nowego Jorku odgrodził.

Mówią: żeby pisać, trzeba mieć olej w głowie i ołów w tyłku. Niestety.

12. Pisałem ja kiedyś "na zadany temat" w paru konkursach, często wygrywając. Ale to było dawno. Dziś mogę pisać tylko o tym, co mnie obchodzi. Co najgłębiej dręczy. Hmm... Czy jest coś takiego, co mnie dręczy - a jednocześnie Polonię by interesowało? Bo przecież "pod Polonię" monodramik być musi...

Od ściany do ściany stąkam, gazety polonijne poczytuję, to kawę się podniecę, to zimną wodą ostudzę i, czuję, że oj, nieświatło będzie. Zamęt, niestety, zamęt straszny w głowie! Mózg jak mrowisko, w którym Nowym Jorkiem jak kijem nagle mi zawiercono - ruch w tym mrowisku gorączkowy, paniczny, jeszcze nie odbudowa, nie przebudowa - rozpadanie się dopiero, rozsypka... Podobno żaden z tych, co na Księżycu stanęli i stamtąd na Ziemię, Amerykę, na domy swoje i sprawy swoje popatrzeli - żaden podobno sobą nie pozostał. Podobno całkiem poważne kłopoty z tzw. równowagą psychiczną mają...

A ja tak z Nowego Jorku na Polskę, na chatę, na filozofie, ideologie nasze, na obozy i programy popatrzyłem...

Witek raz o sąsiedzie z fabryki, gdzie pracuje, opowiadał. "A skąd on?" - spytałem. "Z naszych stron" - odpowiada. "Spod Białegostoku?" - pytam. "Nie, z Jugosławii" - odpowiada.

Gdzie Skopje, gdzie Białystok. Tek, tak... Poszerzyła nam się okolica, Witku.

Po drugie: cóż ja wiem o Ameryce! Pytań mi przybywa dziesięć, sto dziesięć razy prędzej niż odpowiedzi.

Po trzecie: co ja wiem o Polonii! Poszatkowana jakaś, każda emigracji fala inna, krzyżują się fale, zderzają, wiry, wirowisko polonijne, swary niezrozumiałe, różne Polski pamiętanie, wyobrażanie. Rozstrzeleni... Nawet do komunizmu nienawiść ich nie jednocy...

A po czwarte: dom, mieszkanie. Elektryczność w domu. Kuzyn Witek do nas dołączył - bo tam za nerwowo było, za konfliktowo. Zaraz potem znajomy znajomych o schronienie poprosił - na los szczęścia wysiadł z dalekobieżnego samolotu. No i u nas ciasno się zrobiło i nerwowo. Każdy przecież niepewny, przestraszony, przekreślony - w Kosmos wystrzelony... każdy z najwyższym wysiłkiem równowagi pilnuje, przed szaleństwem i powrotem się broni. W piątek wieczorem kropie Smirnoffa na znieczulenie łykam, w niedzielę rano w kościele św. Kostki o niezwykłościach prosimy. Parę razy też byłem, popatrzeć, pomyśleć. Zastanawiające, widziałem: wchodzi do kościoła na rękach i po godzinie szepciana z Panem Bogiem po polsku - wychodzą na nogach. To, że Pan Bóg jest Polakiem, bardzo to pomaga.

13. Mnie nie pomagają... Rozsypka. Co noc inny pomysł, co dzień rano darcie wczorajszych karteek i od nowa, inaczej... nowy koniuszek ni-

ci uchwyceny... znowu nitka za krótka, skończyła się, obrazek na pięć minut powstaje, a nie spektakl na godzinę, póltorej. Niedobrze. Im bardziej chcę, tym gorzej... nie będzie Meksyku, Nowady, Kanady. Z czterech ścian wyszłem na powietrze, na Manhattan ruszyłem podniecający, z tygodni między drapaczami człapałem...

Do katedry Św. Patryka często wstępowałem. Wielki to fenomen, równy Niagara, tylko odwrotny. Przy Piątej Alei, w centrum nowojorskiego kotłowniska- dolarowiska-żniowiska taki azyl... taka kapsuła... taki batyskaf. Taka bania magiczna. Taka niespodziewana pieczara spokoju. Ciszy. Powagi.

Człapałem w tym rojowisku, w stolicy świata, w sercu stolicy świata, aż wyziapałem.

Dwieście lat trzeba, żeby Amerykę i Nowy Jork jako tako pojąć, zrozumieć. A w tym czasie ona mi o czterysta lat ucieknie... nie dam rady. Nie mam prawa ni o Ameryce, ni o Polonii pisać. Za głupi-m. Obcy. Zewnętrzny jestem.

A przecież...

A przecież jest w Nowym Jorku takie miejsce i jest taka sprawa, o których nikt - żaden amerykański historyk, psycholog ni pisarz - nie wie tyle co ja. Co to za miejsce, co za sprawa? Moja głowa i to, co się w niej działo, kiedy się zważył na nią Manhattan.

Moje trzęsienie ziemi, trzęsienie głowy trzeba opisać, mój zamęt. Każdy, kto tu przybył, przeżył swoje trzęsienie ziemi. Czy tak samo jak ja? Ktoś tak, ktoś inaczej - niech porównują.

Znowu się zamknąłem. Na dwa tygodnie.

14. Są pisarze i - pisacze. Ci drudzy - nie mylić z grafomanami - piszą od razu na maszynie, po kilkanaście stron dziennie, okiem prze-latują i tup! tup! od razu do druku niosą. Bo całkiem niegłupie to, sprawne to, profesjonalne to. I ludzie to czytają, chwalą, o więcej proszą. W życiorysach swoich potem dumnie tacy podają, że dwadzieścia książek wydali, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt.

Mnie z tymi panami proszę nie mieszać.

Ryszard Kapuściński /Bułeczka powiedziałaby "Rysio"/ wyznał, że jeśli ude mu się napisać jedną stronę dziennie, jest szczęśliwy. Jeśli dwie - uważa to za sukces.

I dlatego trzeba brutalnie powiedzieć: nie napiszecie swojego "Cesarza" wy, którzy smarujecie po kilkanaście stron dziennie.

Wy nawet nie pojmujecie, o czym ja teraz...

Im więcej się wie - tym trudniej się pisze.

Czy zauważyliście, Czytelnicy? Najmniej mówią ci, co mają najwięcej do powiedzenia.

15. Poezja i dramat uchodzą za koronę literatury.

W poezji, zwłaszcza niekonwencjonalnej, łatwo o hochsztaplerkę. Oszukać masy. Tylko prawdziwi poeci wyczują prawdziwych poetów.

W dramacie oszukać trudniej. Bo wiersze ktoś kupił, tomik otworzył, wytrzeszczył się, zaklął - odstawił na półkę. Cicho, sza, nikt nie wie.

A dramat zdaje egzamin publicznie. Jeśli nawet recenzenci, reklama napędzą widownię, lipy ukryć się nie da. W półmroku sali zwisają z teatralnego sufitu długie flaki z olejem. Nuda, wstyd, zażenowanie. Krzesła trzeszczą, widzowie szepczą, sykaają, ziewają, wychodzą. Widać.

16. Nie, nie uważam się za dramaturga dużego. Jeszcze ani razu nie poszedłem "na całość". Z czterech wystawionych sztuk jedną spartoliłem - wystawiono - trudno było naprawić. Choć i tę nieudaną chwalono, ludzie chodzili. Ale recenzje recenzjami - swoje trzeba wiedzieć, bo zagłaskają. Niegłupie dziewczyna, kiedy facet zaczyna ją komplementować, zapina się i mówi: "To ja już pójdę". Komplementami, nagrodami, orderami wielu już uwiedziono.

Tamte sztuki były wieloosobowe - "koncertu na jeden instrument", sztuki dla jednego aktora jeszcze nie napisałem. A zadanie tym trud-

niejsze, że aktor, dla którego piszę, słaby jest - muszę tak napisać, żeby mu pomóc, ba, żeby nie dał rady spać. Człapiąc, wycłapałem między drapaczami, że w monologowym wyznaniu dramat, konflikt musi rozegrać się w jednej osobie - między "podosobami", czyli ambiwalentnymi tendencjami "składowymi".

17. Umyśliłem, że bohaterem będzie biało-czerwony. Ktoś jak ja, ze Wschodu - już Marksem, już socjalizmem-komunizmem napromieniowany, podczerwieniony, w którym - gdy na Zachodzie się znalazł - Białe się odzywa i z Czerwonym za bary się bierze. "Tańczowały dwa Michały - jeden Krasny, drugi Biały". W jednym Michale - Wieloistym.

Pisałem - blisko końca było - zrezygnowałem. Z powodu cenzury. Nie, nie tej z PRL. Że kiedy wrócę, kto inny się mną zajmie niż cenzura. Przestraszyłem się cenzury USA. A dokładniej: cenzury Polonii amerykańskiej.

Choć w czterech ścianach zamknięty czytałem przecież "Nowy Dziennik", "Gwiazdę Polarną", "Relax", "Życie Polonii"... kalendarze polonijne, przewodniki, "Dwóch Edwardów" słuchołem, "Głosu Ameryki", "Wolnej Europy". Także tom "Droga Pani" Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej i parę innych tzw. ostrych rzeczy przeczytałem. A i do sklepu chodząc, chcąc nie chcąc parę razy z ludźmi pogadałem. No i sam Bułeczka w nocnych konsultacjach telefonicznie uswiadamiał. Zgadzało się... Gdyby Bułeczka odważył się z moim tekstem wystąpić, nasze tournée zakończyłoby się nie w Kanadzie, nie w Montrealu, ale już tu, w Nowym Jorku, w połowie premierowego przedstawienia, pomidorem w nos albo krzesłem po głowie, kozłowaniem ze schodów... obydwaj obezwani zostalibyśmy komunistami, agentami, plotka i gazety podałyby to dalej i - kłops!

Albowiem wśród Polonii amerykańskiej - a może nie tylko wśród Polonii - w myśleniu i mówieniu o Wschodzie obowiązuje obraz świata uproszczony: Zachód jest dobry, biały jak szaty naszego papieża, przez samego Pana Boga reżyserowany, a Wschód czerwony, a czerwone jest czarne i pochodzi od Szatana. Jeśli Reagan pozostanie prezydentem na drugą kadencję, wykończy "ich" ekonomicznie. Narody nierosyjskie czekają ino, żeby oderwać się od Rosji i Związek się rozleci. Sacharow zostanie prezydentem, Orwell się pomylił - ale tylko o lat kilka, no, kilkanaście.

A kiedy odważyć się powiedzieć Polakowi /polskiemu, amerykańskiemu/, że nie rozleci się Związek ani w roku 1984, ani w 2084, ani w 2184, ani nawet w 2284 - bo to świetnie zorganizowane mocarstwo, prawie doskonale realizujące program genialnego Lenina - już widzę w oczach Polaka podejrzenie-zdziwienie: kto on? Agent czy wariat? Kiedy mówię, że większość mieszkańców ZSRR popiera ustrój i jest dumna z potęgi i wpływów swego państwa - i w razie czego bohatersko będzie tego ustroju i tego państwa bronić - Polak o krok odstepuje, rozgląda się, gdzie piasek /głową wsadzić/. Kwestią jest jedynie - mówię Polakowi - określenie tej większości, ile to procent, osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt czy dziewięćdziesiąt pięć.

Stary Polak w Ameryce nie wie, a młody nie chce wiedzieć, że przez 40 lat demokracji ludowej przeszliśmy - Polacy między Bugiem i Odrą - ogromne przeistoczenie. Że w gruncie rzeczy Solidarność nie chciała "wschodniego socjalizmu" obalić, tylko zreformować...

Ileż razy słyszałem od "Gastarbeiterów": "Dolar mi się podoba, Ameryka nie".

Urodzony w 1954 roku bohater Solidarności Władysław Frasyniuk, którego wyrokiem - z trzech wyroków najcięższym, bo 3,5 letnim - tak przejęli się polonijni publicyści /a którego odwagę podziwiam i którego marzycielstwa zazdroszczę/, chce czy nie, też jest wychowankiem, choć niesfornym, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W "Konspirze" powiedział:

"Nasze społeczeństwo próbuje budować nowy model polityczny nie oparty na sztywnym podziale partyjnym. Nie chce kupować garnituru z Zachodu

du. Boi się koloru brunatnego, czerwonego, nawet różowego. Ale boi się również czego innego. Nawet USA, gdzie mało socjalistów, a jeszcze mniej komunistów i faszystów, nie odpowiadają nam jako model. U nas wolność jest krępowana przez policję, tam - przez pieniądź".

Byłem na odczycie mecenasa Siły-Nowickiego: widziałem to osłupienie, oburzenie, czytałem napastliwe komentarze. Odważył się porównywać praworządność w USA z praworządnością w PRL, bezprawie w PRL z bezprawiem w USA! Jak mógł! Szok! Jeśli rozmawiasz z Polonią, mów jej językiem: Gułag, Katyń, KGB, SB, totalitaryzm, reżim, junta, kołchozy, puste półki, SS-20, ZOMO, kolaboranci, glepiec, Mongoły, itd. Język, którym nic sensownego nie da się powiedzieć, bo trywializuje, upraszcza. Frazeologia urągająca swojej "radykałnością" rozumowi - "Trybuna Ludu", tyle że na odwrót, najwinniej i... głupiej. Schematy, schematy... Zastanawiam się: kto ma z tego "radikalizmu" największy pożytek? Komu najbardziej zależy, żeby Polonia pozostała schematyczna, frazeologiczna, ograniczona...

18. Chcielibyśmy Kowna, Wilna, Lwowa - ale i Gdańskie, Szczecińskie, Wrocławskie... Temat tabu, ale tabu w jedną stronę, jądro tego dramatu nietykalne. Ileż u nas, Polaków, cenzury nieoficjalnej, niepaństwowej, naszej! Spróbuj tknąć... O Ameryce tylko na kolanach, o PRL - tylko z pogardą. Spróbuj rzecz rozważać, dyskutować. Im logiczniej będziesz rzecz pogłębiał, tym pewniejsze, że usłyszysz ni stąd, ni zowąd nagle: - Jak ci się Ameryka nie podoba, s.....j do Jaruzelskiego!"

Mniej bałbym się w Polsce Służby Bezpieczeństwa jeżdżąc z panegirykami o prezydencie Reaganie i premier Thatcher, niż Polaków w USA jeżdżąc z monodramem o Michale Białym-Czerwonym. Czerwonego w Polakach nie ma - i już. Głowa w piasek...

19. Raz na Greenpoincie "filozofowałem" ambiwalentnie przed sklepem "Ademby". Wtem nie wytrzymałem rozmówca: - A co mi tam będziesz pieprzył o plusach i minusach, wejdźmy choćby do tego sklepu! Weszliśmy. Spożywczy, niedużo. Iks wskazał na szafki, półki, chłodziarki.

- I o czym tu gadać! - podsumował. I poszedł.

A kto inny pokazał mi na Manhattanie /nie mogę tego miejsca odnaleźć/ i przetłumaczył napis:

"Jeśli jesteś taki mądry, dlaczego jesteś taki biedny?"

I dodał: - Zastosuj to pytanie do Ustroju, spytaj tego Wschodniego Ustroju: "Jeżeli jesteś taki mądry, dlaczego jesteś taki biedny?"

Tak, obydwa mieli rację. Mieli, ale i ... nie mieli.

Z manhattańskiego aforyzmu wynika jedynie pytanie, czy trzeba, żeby mądry był biedny. Ale nie wynika wcale, że bogatszy na pewno jest mądrzejszy.

Gdyby tak było, ja np. musiałbym uklęknąć przed Bułeczką, złożyć dłonie i śpiewając "Mądry, Mądry, Mądry!" całować mu adidasy.

20. Zmartwił się Bułeczka, że miesiąc zmitrężyłem na pusto. "Odechnij" - doradził przyjacielsko. Do Kuby wziął, żebym dolarowania spróbował, popodglądał "Gastarbeiterów", milionera, milionerkę, bossa. Manhattan, jedenaste piętro, remont mieszkania kupionego za trzy miliony dolarów. Ciekawe to było... Czwartego dnia koło trzeciej, dziury szpachlując, na innych Michałów się zdecydowałem... na nadgodziny nie zostałem - że już więcej nie przyjdę, Kubie dziwnemu, a nawet jakby obrażonemu, powiedziałem - dwieście za te cztery dni zainkasowałem i znowu w czterech ścianach się zamknąłem. Oto Białego i Czerwonego porzuciwszy, z Michała Wieloistego dwóch innych Michałów wyodrębniłem: Wsioka i Mieszczura. Uniwersalniejsze to. A i bezpieczniejsze, pewniejsze. Dwa miesiące jeszcze - wrzesień i październik - mózg skołatany wyzamięsałem duszę katowałem /bo Meksyk, Nowada, Kanada!/, żeby ten mono-

dramik pod Polonię uskładać, mimo zamętu-kotłowniska w głowie. I tego tu życia do góry nogami, krzyżujących się godzin, oddechów, sporów... mimo tej elektryczności w tym greenpoinckim mieszkaniu. Bułeczka stoi za plecami. - Kończ, kończ! - naciska. Potem doszlifujesz! Wizy przedłużajmy - skoczmy na święta do Meksyku, po Nowym Roku w Nowym Jorku prapremiera i - w drogę!

Ostatnią stronę dostukuję, ostatnią kropkę, jeszcze: "2.XI.84 godz. 18.45" dopisuję, kartkę wykręcam, on ucałił, do tamtych kartek dołączył, zakręcił się, podskoczył, pobiegł. Na Queens, do swojego apartamentu.

- Dziś Zaduszkii w Polsce - westchnął Jul, który widział, jak ja się tym amerykańskim pisaniem katowałem i nieraz w nocy różaniec szeptał. Potem kiedyś wyznał, że szeptał w intencji, żeby mnie nie zwariowało. Kochane chłopisko. Bo kto wie, gdyby nie ten różaniec.

Przed północą telefon. Bułeczka.

- To jest to! - pieje. - Och jak ja to zagram, jak ja to im zagram! Na całość pójdę! Na full!

Odetchnąłem. Będzie Meksyk. Będzie Kalifornia, Arizona, Nowada, Oregon, Kanada...

21. Zasnąć nie mogłem. W owe miesiące żadne relania, nitrozepamy, rumianki nasenne mnie się nie imały. Wódka nie. Tylko bomba piwa /0,946 l/ działała niezawodnie.

Wypiłem bombę. Nic.

Drugą bombę. Też nic.

Witek z nocnej roboty wrócił - schowaliśmy się w łazience - szepczemy.

- Ty tu maszynopis bez żadnej umowy dałeś?! - zadrżał. - Toż on tego się nauczy i ucieknie! To Ameryka, tu Polak jeden drugiego jak może kantuje, oszwabia, ograbia! Ty nie znasz druzgocącej siły dolara - tłu-macz - jeszcze nie wiesz, że dolar każdą uczciwość, każde słowo hono-ru łamie. Polkę Matkę skurwi, Orła Polaka zeszmaci... Trzeba było mu - sztukę wręczając - umowę podsunąć. "Za napisanie w trzy miesiące zamówionego monodramu tyle a tyle... udział w kosztach wyprawy taki a taki... w razie gdyby sam pojechał, odszkodowania tyle a tyle..." Czło-wieku, ja już tysiąc ci pożyczyłem i jeszcze będę musiał pożyczać - ja muszę mieć zabezpieczenie!

A ja: - E, nieładnie, Witoldzie, aż tak wobec drugiego człowieka być podejrziwym. Polak Polakowi musi trochę na obczyźnie ufać.

A on: - Właśnie dlatego, że ty Polak i on Polak, dwa razy więcej musisz uważać! Na Hiszpanach, Grekach, Brazylijczykach Polak się nie zna. A na Polakach zna. I dlatego oszukuje Polak kogo? Polaka!

A ja: - Jeśli nawet oszuka, to po ludzku. W granicach normalnego, przez Boga ustanowionego skąpstwa. W ramach zwykłego sknerstwa polskie-go na obczyźnie. Przeboleję. Ale co zobaczę, to zobaczę.

A on: - To nie zauważyłeś, że o Meksyku jakoś gadać przestaje? Rzeczywiście. O jakichś komplikacjach napomknął.

- Nie, on mnie nie oszuka - powiedziałem. - A wiesz dlaczego? Bo mu będzie zależało, żeby jeszcze raz ze mną pojechać.

Roześmiał się kuzyn Witek.

- Po co mu dwa razy, chi, chi, uczyć się i dwa razy, chi, chi, chi z tobą jeździć, jak on tyle co z tobą za dwa razy, sam jednym razem - chi, chi, chi! cha, cha, cha, cha! - zarobi...

Nie rozumiałem, z czego się śmieje. Nie wiedziałem jeszcze, że w Ameryce, inaczej niż w Polsce, ofiarę, jelenia, kwituje się śmiechem, a nie współczuciem. Cwaniakowi zaś podziw się należy i szacunek. Im kant większy, tym większy podziw i szacunek.

EDWARD REDLIŃSKI

/Przegląd Polski/

Ciąg dalszy nastąpi

Listy do Redakcji

Paryż, 7 listopada 1985 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9-10 /sierpień 1985/ Pańskiego pisma ukazał się wywiad przeprowadzony z Ireną Grudzińską-Gross. Jest to interesujące, miejscami wzruszające świadectwo losów emigrantki. Niepotrzebnie tylko Irena Grudzińska-Gross posługuje się zaimkiem "my" - obejmując nim środowisko skupione wokół kwartalnika "Aneks" a czasami i wiele osób w Polsce - gdy w sposób oczywisty mówi o indywidualnych dramatach i bardzo osobistym na nie reagowaniu.

Również jeżeli chodzi o przytaczane fakty, można polegać wyłącznie na tych, które dotyczą bezpośrednio rozmówcy dziennikarza z "Bez dekretu". Dużo jest bowiem nieścisłości, które dadzą się zresztą wytłumaczyć emigracyjnym rozproszeniem.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Aleksander Smolar

Wrocław, 14.07.85

Do Redakcji "Bez Dekretu"

Z zainteresowaniem wziąłem do ręki kolejny numer, tj. siódmy Waszego pisma. Na stronie 64 zamieszczone było opowiadanie p. Andrzeja Wiernikowskiego pt. "Kalina". Gdy wgłębiłem się w ten tekst poraziła mnie jego treść. Proszę Panów, to jest zwykłe porno, obrzydliwe porno! Podobne teksty mogą sobie przeczytać np. w tygodniku "Veto", który bez trudu można dostać w kiosku "Ruchu". Bardzo się zdziwiłem, gdyż "Bez Dekretu" uważałem dotychczas za poważny i dobry periodyk niezależny, na którego kolejny numer z utęsknieniem czekałem. Nie wiem, kto mógł dopuścić do tego, aby podobny tekst został wydrukowany, niewątpliwie jest to spore niedociągnięcie. Pismo Wasze czyta szereg młodych ludzi, na których moralności na pewno to pseudo opowiadanie może zaciążyć ujemnie. Mam nadzieję, że w przyszłości nie dacie podobnej "plamy".

Z poważaniem

Młody Wrocławianin

Szanowna Redakcjo!

Trochę dość mam ciągłych rozmów, tłumaczenia i dyskusji z odbiorcami Waszego pisma. Mam dość, dlatego też decyduję się na napisanie tego listu.

Chodzi przede wszystkim o opowiadanie "Kalina" zamieszczone w 7 numerze "Bez Dekretu". Czego ja się nie nasłuchiłem: że pornografia, że czystość moralna narodu, że nie wolno, że ciotka się obraziła, że w podziemiu takie rzeczy - fe... A może to właśnie o to chodzi, żeby to podziemie stało się wreszcie normalne. Mówiące normalnym językiem, widzące rzeczy takimi jakie są a nie bujające w obłokach, wykrzykujące wielkie słowa, górnolotne modlitwy, żyjące mitem w nierealnym świecie kartek i znaczków pocztowych Solidarności. Normalność niezależnego życia to także normalność niezależnej literatury. Normalność literatury w normalnym świecie zaś, to nie tylko literatura polityczna, to również kryminały, komiksy, pornografia, literatura dla gubernantek i poezja metafizyczna. Wszystkie te i inne rodzaje tworzą dopiero pełny o-

braz literatury. Niezależna kultura to nie tylko dzieła krytykujące rzeczywistość polityczną. Obnażanie głupoty, podłości i obżarstwa "czerwonego", to nie najważniejsze kryterium oceny artystycznej.

Jeśli chodzi o opowiadanie "Kalina", to można dyskutować: czy jest to literatura dobra albo zła, ale nie: czy to już pornografia czy jeszcze nie. Cieszy mnie odwaga Redakcji w decyzji druku tego opowiadania, jak cieszy mnie każda rzecz świadcząca o zdrowiu psychicznym tych, którzy jeszcze coś robią. Niepokoją mnie jednak coraz bardziej moralnie nieskalani Wasi czytelnicy.

Kolporter

W 1 numerze "BD" drukowaliśmy fragment "Raportu Nr 1" opracowanego przez Stanisława Jegłowieckiego pt. "Naród-"Solidarność"-Komunizm". Zamiściliśmy pod owym fragmentem adnotację, iż raport ukaże się wkrótce w postaci książeczki. Tak też się stało - wydała go Biblioteka Obserwatora Wojennego. Redakcja otrzymała dwa listy odnoszące się do całości opracowania, a nie tylko do fragmentu drukowanego w piśmie. Niemniej uznaliśmy za słuszne ich opublikowanie, choćby po to, by mogli się z nimi zapoznać przeprowadzający badania, przygotowujący raport i oczywiście zainteresowani badaniami ankietowymi Czytelnicy.

Uwagi na temat opracowania Stanisława Jegłowieckiego

"Naród - Solidarność - Komunizm"

1. Niewątpliwe zalety pracy to:
 - a/ fakt przygotowania, przeprowadzenia, opracowania i opublikowania sondażu opinii społecznej
 - b/ próba interpretacji wyników badań.
2. Wartość pracy obniżona została przez kompozycję tekstu, polegającą na przemieszaniu wyników badań z ich interpretacją i z postulatami autora pod adresem podziemnej "S". "Surowe" wyniki badań nie podlegają dyskusji; ich interpretacja i wnioski z niej wypływające mogą być różne. Zatarcie granic między wynikami, interpretacją i postulatami prowadzi do podważenia wiarygodności całego sondażu /czytelnik zmuszony jest przyjąć lub odrzucić całe opracowanie - a więc także wyniki ankiet - w zależności od tego, czy zgadza się czy nie z koncepcją autora, według której te wyniki zostały zinterpretowane/. Np. na s.21: czy charakterystyka "przyczyn stanu świadomości zbiorowej" oparta jest na wynikach badań ankietowych, czy na domysłach autora? Na s.29: czy spekulacja na temat spodziewanego "upadku ducha i rezygnacji" po delegalizacji "S" i wynikająca z tego "bardzo dobra" ocena sytuacji obecnej oparte są na wynikach badań - czy na przemyśleniach własnych autora?
3. Opracowanie zawiera szereg tez dyskusyjnych, nie wpływających wprost z wyników badań ankietowych, a przyjętych a priori przez autora. Tezy te są ciekawe i godne dyskusji, nie mogą jednak być prezentowane jako wnioski z sondażu opinii społecznej. Np.:
 - a/ s.14: duże uproszczenie w analizie społeczeństwa pod względem jego stosunku do władzy. Wydaje się, że grup "kadry kierowniczej i członków partii" nie jest aż tak "całkowicie wyobcowana, sprzedajna, pozbawiona poczucia polskości", by jej "wyłączenie" było "zgodne z teoretycznym pojęciem społeczeństwa". Stwierdzenie, że wyniki badań są "reprezentatywne dla społeczeństwa Krakowa z wyłączeniem grup wyobcowanych" brzmi śmiesznie, skoro autor nie charakteryzuje ani ilościowo, ani funkcjonalnie owych "grup wyobcowanych". Z charakterystyki respondentów wynika, że badania przeprowadzono wśród ludzi, których można określić mianem "bazy społecznej" "Solidarności" w Krakowie", autor tymcza-

- sem w wielu wypadkach uogólnia wyniki badań na "społeczeństwo Krakowa" lub wręcz "społeczeństwo w ogóle".
- b/ s.16: teza o świadomym i celowym niszczeniu Krakowa-centrum polskości przez władze wydaje się prawdziwa w odniesieniu do decyzji o budowie Nowej Huty; jako stała tendencja w polityce wewnętrznej jest dyskusyjna.
 - c/ s.18: naiwność i niekonsekwencja wnioskowania: autor /słusznie zresztą/ wątpi w wiarygodność danych oficjalnych, ale przyjmuje za prawdziwe komunikaty GUS o średniej zarobków mieszkańców Krakowa.
 - d/ wątpliwości budzi prognoza o "degradacji ekonomicznej, kulturalnej, politycznej i moralnej" społeczeństwa polskiego w najbliższej przyszłości /s.22/
 - e/ s.26, 28: dyskusyjne tezy i postulaty o stosunku "S" do sprawy samorządów.
 - f/ dość naiwne i uproszczone tezy o strategii Jaruzelskiego /s.31, 35, 36/, polityce Moskwy w stosunku do Polski /s.43/ itp.
 - g/ uproszczona charakterystyka "nowych inteligentów" /s.43/
 - h/ stosowanie ściśle określonego, historycznego pojęcia "kolonializm" do stosunków polsko-moskiewskich
 - i/ operowanie pojęciami bez ich definiowania, co prowadzi do demagogii - np. co to jest "sumienie Polaka"? /s.11/.

Sociolog

Raport 1 przedstawia bardzo ciekawe materiały i przy całym tragicznie opisanej w nim sytuacji naszego społeczeństwa zawiera w sobie cenny ładunek optymizmu i woli walki. Z większością interpretacji wyników i wniosków na przyszłość zgadzam się całkowicie, ale z kilkoma nie zgadzam się równie całkowicie, uważam je za złe, niesłuszne, a dla całego ruchu "S" szkodliwe i niebezpieczne w najwyższym stopniu.

Na str.59 autor pisze, że NSZZ "Solidarność" musi akcentować "swój robotniczy i inteligentcki charakter", a dzielić w przyszłości władzę z chłopem może "pod warunkiem, że głos decydujący będą mieć pracownicy tych dwóch głównych grup nowoczesnego społeczeństwa". Jest to rezygnacja z demokracji przyszłego państwa. Wszyscy będą równi, a niektórzy równiejsi. Zamiast jednej przodującej /jedynie w deklaracjach/ klasy mamy dwie przodujące klasy i drogę do demokracji zamkniętą, a do totalitaryzmu otwartą. Na str. 71 autor twierdzi, że chłop "jest paszytym na ciele klasy robotniczej i inteligentckiej". "Za prawo paszytowania dostarcza szeregów ZOMO, cennych i zawistnych, nienawidzących miasta kadr, milicji, wojsku, aparatowi partyjnemu itd.". W ten sposób autor rezygnuje z 40% narodu, w jego walce o suwerenność i obciąża w sposób, moim zdaniem, niedopuszczalny złymi czynami małej grupy całą, ogromną klasę społeczną, która w swej masie jest równie przeciwna komunizmowi jak cała reszta społeczeństwa. Tak postępując można by równie niesłusznie potępić inteligencję, bo przecież większość aparatu partyjnego z niej się rekrutuje /chłopi mają najmniejszy udział/. Poważna część morderców i katów z SB również należy do inteligencji, jeśli za kryterium przynależności do tej klasy przyjąć jak w Raporcie wyższe wykształcenie. Niczego bardziej nie pragną wykonawcy poleceń Moskwy w Polsce jak właśnie podziału naszego społeczeństwa, wzajemnej nieufności i niechęci. Niech robotnik nienawidzi inżyniera, inżynier robotnika, mieszkaniec miasta mieszkańca wsi i na odwrót. Te animozje istnieją, władze PRL je podniecają jak mogą, a rolą "Solidarności" jest walka z nimi.

Druża sprawa, to zupełnie niepotrzebne moim zdaniem poruszenie kwestii granic Polski w czasie, kiedy komunizm rosyjski padnie. Na str. 59 autor pisze: "Polacy powinni stać na stanowisku, że gotowi są zaakceptować aktualny stan granic, jeśli rządy wolnych sąsiadów uznają to za sprawiedliwe i niezbędne dla pokojowego i przyjaznego współżycia".

Żdziwa wypowiedź. Po pierwsze czy to znaczy, że jeśli sąsiedzi tych granic nie uznają to oddamy na przykład Karpaty po Krynicy Ukra-

incom, a Gdańsk, Poznań i Katowice Niemcom dla pokojowego i przyjaznego współżycia? Po drugie, czy mamy uznać, że granice wytyczone przez Stalina, granice przemocy i nienawiści, obliczone właśnie na skłócenie sąsiadujących narodów są słuszne? I mamy na przykład bez namysłu i dyskusji zrezygnować z Lwowa, miasta równie polskiego jak Kraków czy Warszawa dlatego, że władze radzieckie częściowo wypędziły, a częściowo wytepiły jego polską ludność? Wydaje się, że w obecnej chwili jedynie słusznym stanowiskiem jest zadeklarowanie, że naród polski nie ma zamiaru krzywdzić swoich sąsiadów, ani nikogo, a także nie ma zamiaru krzywdzić samego siebie i we wszystkie ewentualnych sprawach spornych będzie dążył do rozsądnego i sprawiedliwego kompromisu.

Trzecią sprawą jest ustalenie celów "Solidarności". Sądzę, że nie tyle "romantyczne" co realistyczne jest uznanie, że celem pierwszym jest odzyskanie suwerenności, a wszystko inne może i powinno być dyskutowane i rozważane, ale nie wymaga rozstrzygnięć na dziś. Suwerenność jako cel jednoczy wszystkich uczciwych Polaków niezależnie, czy i jakie mają poza tym przekonania polityczne. Dla tego celu prawie cały naród stanął za "Solidarnością", dla niego nie odwrócił się od "Solidarności" po jej formalnej przegranej. I dlatego, aby nie osłabiać, ale wzmacniać "Solidarność" nie powinna być partią polityczną, automatycznie odstręczającą ludzi z prawa czy z lewa. Powinna być zgodnie ze swoją nazwą swojego rodzaju frontem narodowym, związkiem wszystkich klas i wszystkich ludzi dobrej woli. Jest to konieczny warunek jej ostatecznego zwycięstwa.

Profesor PAN

TUMANY I FETYSZE DIVIDE ET IMPERA

Napisał do mnie list /m.in., bo listów dostają ho ho.../ drogi i w pełni doceniony współpracownik "BD" - szanowny pan Berberys Nieutulony. Dowiaduję się z niego wielu mądrych rzeczy o parlamentarystymie brytyjskim, tegoż imperium liberalizmie oraz o potrzebie dorastania do wolności i szkodliwości mojej własnej demoralizacji z numeru na numer. Owa demoralizacja, twierdzi Pan Berberys, źródło swoje ma głównie i tutaj już cytuję: "Także komunikuję, że nie lubię, kiedy przejdzie Pan jednoosobowemu i cokolwiek samowładczemu Kolegium Redakcyjnemu i w chmurze unoszących się kartek maszynopisu sprawuje Pan swoje divide et impera: to puścimy, to skrócimy, to wyrzucimy bo głupie a tamto, żeby sobie autor nie myślał.

Gwoli sprawiedliwości przyznaję, że pracują Pan dużo i z poświęceniem, i bez iskry Bożej buzującej w Panu "BD" byłoby znacznie uboższe. Chcę tylko rzecz sprowadzić do właściwych rozmiarów: Pan Struga jest felietonistą pisma członków i sympatyków "Solidarności", a nie guru ogromnej i scentralizowanej grupy, która przygotowuje się w królewskim mieście Krakowie do rychłego przejęcia władzy i wprowadzenia - począwszy od klasy piątej szkoły podstawowej - strugizmu jako obowiązkowego przedmiotu nauczania tudzież przemianowania krypty św. Leonarda na Wawelu w sanktuarium Strugi Konrada, oby żył wiecznie. Z pozdrowieniem Berberys Nieutulony."

Ja również pozdrawiam Pana, panie Berberys Nieutulony, choć martwi mnie pański brak wiary w to, że jestem guru. Znam ze dwie panienki z "podziemia", które gotowe byłyby przysiąc, że kto jak kto, ale ja jestem guru /powiedzmy, dla nich/. Zaśmiej się Pan, panie Berberys, że tylko dwie. Niestety, drogi Panie "podziemie", które znam li tylko powierzchownie, nie obfituje w nadmiar panienek, dla których chciałby człowiek być guru. Ale te dwie ochrzciłyby kryptę i, nie daj Boże, kilka innych sanktuariów moim imieniem i nazwiskiem. Ma się te zasługi,

panie Berberys, dzięki owej iskrze Bożej, którą Pan sam we mnie wyczułeś. Jeśli zaś chodzi o nauczanie strugizmu od podstawówki - protestuję żywo. To przedmiot skomplikowany, dyletancki, zaczepny, dowolny i bez właściwej oraz uznawanej w "podziemiu" moralności, czyli pozbawiony wszelkich znamion poświęcenia dla "sprawy". I co gorsza, wyznam szczerze, iż nie noszę w klapie Matki Boskiej, ani Wałęsy, bo nawet na ścianach mego lokalu mieszkalnego wiszą zwykłe grafiki, a nie solidarnościowe wota. Nie, panie Berberys, strugizm może iść dopiero na kursach podyplomowych.

Strugizm zasada się na omylności, zbyt wielkim luzie, co niestety czasami i w felietonach widać. To wszystko jest nieprzemyślane, oparte na odruchu buntu, protestu... Protestu przeciwko "czerwonym", a i przeciwko "podziemiu". Pisanie o proteście przeciwko czerwonym zawarte jest na 70 stronach "BD". Na tych dwóch zaś można sobie poprotestować przeciwko "podziemiu".

Cóż tam widać? Cóż tam słychać? Stoję teraz jako ten Wyspiański w "Weselu" i widzę... Widzę... oddanych "sprawie", którzy dla tej "sprawy", w jej imieniu kradną z transportów offsety, kradną książki, komputery i każdy inny sprzęt i osprzęt. Kradną dla swojej "firmy", choć było to przeznaczone zgola dla kogo innego. Kradną w imię tego, że im bardziej potrzeba. A to ciekawostka. Póki co nie podaję nazwisk, ale jak tak dalej pójdzie - to i czarne listy złodziei "dla sprawy" zacznie ogłaszać. A niech "czerwony" ma używanie, a może i naszemu "podziemiu" przypomni się 7 przykazanie Boże.

Cóż dalej widzę? Całe zastępy nieomylnych, mających prawo "dla dobra sprawy" ogłaszać swoich bliźnich kolaborantami, ubekami i Bóg wie kim, a jedyne ICH zasługa polega na tym, że odsiedzieli 48 godzin oraz 7 sekund i od tej pamiętnej chwili uczestniczą w każdym kombatanckim opłatku.

Idę dalej - i widzę tych, którzy od mrugania jednym okiem dla niepoznaki dają każdemu do zrozumienia, że są w Libertasie, w Bez Dekretu, w Tędy, w Miesięczniku Małopolskim, w Arce... Są, bo raz, dwa, trzy razy przeniesli pod pachą "Bez Dekretu" z Szewskiej na Topolową. Ale teraz to taki szpan znać kogoś z czegoś, a jeszcze lepiej dawać okiem do zrozumienia, że to właśnie "ja" jestem od "tego".

Wszystko to niby ludzkie. Każdy musi jakoś swoje nieudacznictwo, swoje kompleksy odreagować. Ot, choćby te panienki z "podziemia". Kładą się z dziełaczami, ale czy one to robią z chuci, dla przyjemności? Skąd! Też dla "dobrej sprawy" - wszak działacz musi mieć uregulowane życie erotyczne... A bywa, że taki zagoniony, iż nie bardzo dojrzy z kim się kładzie.

Oj, śni mi się po nocach wielka powieść o "podziemiu". Powieść rzecka. Potem się budzę i już wiem, że talentu i konsekwencji w robocie mi nie staje. Stąd te żółciowe, dyletanckie felietoniki. Stąd ta żywiołowa niechęć do wszystkich nawiedzonych, umęczonych i jedynie sprawiedliwych. Najwspanialsii jedynie sprawiedliwi, wyjdźcie ze swojego mikro-podziemnego światka a zobaczycie, że ludzie to ludzie. Kochają, nienawidzą, brzydzą się, są sprawiedliwi, mądrzy, głupcy, zdradzają się i są sobie wierni, ale robią to wszystko, bo tacy są, bo tak ich Bóg stworzył, bo tacy chcą być. I nie ukrywają swoich niedociągnięć, swoich kompleksów, swojego nieudacznictwa pod hasłem "dla dobrej sprawy". Owa "sprawa" będzie się znacznie lepiej czuła, kiedy podejdziesz się do niej po ludzku, po człowieczemu, a nie ze sztampowym przygnębieniem: cierpię dla "dobrej sprawy". Nie cierp! Żyj i pracuj jak umiesz i na ile Cię stać, ale normalnie, bez tego ządęcia, bez męczeństwa etc. Jeśli Cię męczy to "podziemie", to hoduj tulipany alibo nagietki.

Z męczenia jeszcze nic dobrego nie wyszło i nie wyjdzie. Kto nie wierzy niech czyta np. W. Bukowskiego "Kto sieje wiatr"...

Aleś mnie Pan sprowokował - panie Berberysie - ale i tak kocham Pana miłością nadziemną /opozycja do podziemnej/

KONRAD STRUGA

Cena 300 zł

BEZ
DEKRETU

NR 13 KRAKÓW